Stron 12 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

13

Cena 20 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 11–18 lipca 1948 r. Nr 28–29 (157–158)

M. B. P. w Łodzi

W NUMERZE

między innymi:

L. Sobierajski — Przed nagrodą „Odrodzenia"
W. Łukaszewicz — 14 lipca
A. Kamieńska — Wiersze
H. Syska — Krucjata
J. Szczepański — Wychowanie dla sztuki
T. Konwicki — Wielkie manewry
T. Orlewicz — Przed nowymi zbiorami
J. Pogan — Sylwetki plebanów
P. Pigwa — Memento
M. Koliba — Praktyka licealna
M. N. Listowski — Landszafty ze ścian!

LISTY MATURZYSTÓW

Zbliża się moment Kongresu Zjednoczeniowego Związków Młodzieżowych. Po wcześniejszym zadekretowaniu wielkich reform (upaństwowienie przemysłu, reforma rolna, reorganizacja szkolnictwa) przychodzą ich następstwa w dziedzinie kultury. Jest nim m. in. właśnie samookreślenie się młodzieży w funkcji tworzenia nowego, jednolitego społeczeństwa. Kongres jednoczący młodzież robotniczą, chłopską, drobnomieszczańską i inteligencką potwierdzi już tylko formalnie rzeczywistą, jednolitofrontową postawę młodego pokolenia Polski, wprowadzając tym do szeregu poprzedzających trzech wielkich reform — CZWARTĄ.

Zamieszczone niżej listy kilku tegorocznych maturzystów wskazują na postawę tej młodzieży. Jest to postawa ekspansywna, zdobywcza. Jest to postawa walki z obciążeniami programowymi i rekwizytami przeszłościowymi w szkole i poza nią, a których młode pokolenie w ciągu trzech lat pozbyć się jeszcze w całości nie mogło.

Listy przedstawicieli nowego, młodego pokolenia inteligencji przesyłamy NA WROCŁAWSKI KONGRES 22 LIPCA. To są delegaci „Wsi" i ich głosy na Kongres Zjednoczeniowy. Redakcja

Henryk Blacha

Z Pyrzogłowów na socjologię

Niedawno złożyłem egzamin dojrzałości kwalifikujący mnie na pierwszy rok studiów w Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej.

Egzamin ten jest bardzo ważnym momentem w mym życiu, choćby dlatego, że już dwa razy bezskutecznie z nim się porałem. Wagę tego momentu wykażą najbardziej odpowiedzi na następujące pytania:

1) dlaczego nie złożyłem egzaminu dojrzałości za pierwszym i drugim razem? i 2) dlaczego dokonałem tego obecnie?

Początkowe niepowodzenia tłumaczą się ciężkimi warunkami materialnymi, w jakich zdobywałem wiedzę. Należałem do tej kategorii młodzieży chłopskiej, która przed wojną mogła tylko marzyć o kształceniu się.

Ojciec posiadał sześć mórg pola, w tym cztery z parcelacji, które musiał spłacać ratami, rozłożonymi na kilkadziesiąt lat. Przed wojną raty te były tak uciążliwe, że do szkoły chodziłem przeszło 3 km o suchym kawałku razowca.

Nie mając widoków na dalsze kształcenie poszedłem zaraz po ukończeniu siedmiu oddziałów, terminować do krawca. Z czasem zaawansowałem na czeladnika, ale zaraz wybuchła wojna i jeśli idzie o naukę — warunki — przynajmniej dla mnie — poprawiły się.

W latach 1941 — 43 przerobiłem z dużymi brakami trzy klasy w tajnym gimnazjum, prowadzonym przez jednego z obecnych redaktorów tyg. „Wieś".

Później było trudniej. Niemcy tępili tajne nauczanie, równocześnie przybywało pracy narodowo — wyzwoleńczej. Pracowałem na punkcie prasowym i radioodbiorczym jako współredaktor tajnego pisma ludowego — „Chłopskiej prawdy".

W roku 1945 udało mi się wprawdzie złożyć egzamin konkursowy do liceum przyśpieszonego w Busku-Zdroju, ale obcięto mnie na maturze, przy egzaminie ustnym. Częściowo może dlatego, że miałem braki, częściowo jednak dlatego, że wielu profesorom, szczególnie zaś polonistce, nie podobały się moje radykalne poglądy. Dziś wiem, że fakt czytania takich pism jak „Wieś" znacznie mi przy maturze zaszkodził.

W 1946/7 roku wyjechałem do Wrocławia, aby zdać maturę. Tu znalazłem się w jeszcze gorszych warunkach materialnych. Znowu nie dojadałem a w nieopalonym mieszkaniu musiałem przesiedzieć całą zimę. Zapadłem z wycieńczenia na zdrowiu, przerwałem naukę i nie uzyskawszy matury wróciłem na wieś.

Na swojej i sąsiednich wioskach prowadziłem robotę społeczną przy zakładaniu kół wiciowych S. L. czy Z.S.Ch.

Zagadnienia społeczne zaczęły mnie odtąd coraz silniej zajmować tak, że zdecydowałem się studiować socjologię.

W roku 1947/8 zacząłem studiować na Uniwersytecie Łódzkim socjologię jako wolny słuchacz. Równocześnie pracowałem zarobkowo. Ale niezłożona matura zagradzała mi drogę do egzaminów i nie dawała spokoju.

Okazało się przy tym, że nie dam rady studiować, przygotowywać się do matury i pracować. Dlatego też od półrocza dostałem się na rok wstępny do Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, a socjologię tymczasowo porzuciłem.

Na P.W.S.P. panuje zupełnie inna atmosfera wychowawcza niż w gimnazjum w Busku. Profesorowie są tu nastawieni demokratycznie i interesują się żywo pracami społecznymi swoich uczniów. Koledzy o antydemokratycznych poglądach nie mogli wsi już w niczym przeszkodzić, ponieważ nie uchodzili tu za złotopolską młodzież.

Chociaż trzeba przyznać, że młodzież P.W.S.P. stanowi skomplikowany zlepek światopoglądowy. Przeważnie pochodzi ona z wsi podmiejskich, mających większe szanse na kształcenie się, gdzie mieszkańcy zwracają się do siebie per „pan". Są to często Z.W.M.-owcy z krzyżami harcerskimi i wiciarze z sodalicji.



rys. I. Bezdzikówna

Wielu z nich żyje w przekonaniu, że inteligencja sama przez się, bez określonej roli społecznej, z racji ogłady i wiedzy najlepiej służy ojczyźnie. Ojczyzna natomiast u nich to nie jest pojęcie na które składają się: ilość i jakość dóbr przyrody znajdujących się na określonym terytorium i lud przekształcający je do użytku konsumcyjnego. Ojczyzna ich to — orzeł z koroną, jakaś misja zbawiająca wszystkich wokół i inne ideologizmy, których nikt właściwie nie rozumie.

Wielu jeszcze moich kolegów z P.W.S.P. wychowanych na „moralności" liberalnej patrzy na zagadnienia społeczno-narodowe przez pryzmat potrzeb swojej klasy. Zagadnienie sprawiedliwego dochodu społecznego, jego zwyżka poprzez uruchomienie aparatu produkcyjnego, sprawy dostatecznego zainwestowania kraju — są im obce.

Nieraz dyskutowaliśmy do późna w nocy. Mówiłem, że obecnie część dochodu społecznego idzie na potrzeby inwestycyjne i dopiero po ich zaspokojeniu wróci do człowieka pracy. To jest przecież naukowe uzasadnienie naszej polityki gospodarczej. Ale nie zawsze mnie słuchano.

Kiedyś dyskutowaliśmy zawzięcie sprawę Szeli i rzezi galicyjskiej. Tu odniosłem zdecydowane zwycięstwo. Druzgocących argumentów dostarczyła mi lektura tygodnika „Wieś".

Młodzież nie jest taka dziecinna, jak się słyszy. Toczy walki ideologiczne, przy czym ten wygrywa, kto czyta, kto utrzymuje ścisły związek ze współczesnymi osiągnięciami naukowymi, kto zagląda do „Kuźnicy", „Myśli Współczesnej" czy innych pism.

Ja stale czytywałem „Wieś", rozgryzałem poruszane tam problemy społeczne, chodziłem co wtorek na kluby dyskusyjne prowadzone przez redakcję. Wyniki nie dały długo na siebie czekać. W szkole profesorka od języka polskiego głos mój w dyskusjach nad wypracowaniami bardzo często przyjmowała za rozstrzygający.

Maturę zdałem tym razem bez najmniejszych trudności. Moi koledzy operowali masami luźnych faktów literackich. Znali nazwiska bohaterów, miejsca akcji, nazwy miast. Ja natomiast umiałem odnieść te fakty literackie do odpowiadającej im rzeczywistości społecznej, gospodarczej i kulturalnej.

Na maturze pisałem na temat: „Kwestie społeczne i narodowe w znanych mi utworach Stefana Żeromskiego". Nie wyliczałem chronologiczne, czy alfabetycznie książek Żeromskiego i nie interesowały mnie nazwiska bohaterów romansowych. Zwróciłem uwagę na stanowisko, z jakiego autor wyznacza rolę swym bohaterom, w jakim kontekście społecznym oni działają i jak. Zapytałem czemuż to Judym tak sam sobie działa, czemu męczy się w pojedynkę, zamiast zapisać się do P.P.S-u? Przecież można było. W końcu stwierdziłem, że Żeromski powierza rozwiązanie problemu nędzy i zła — inteligencji, a więc nie różni się od swoich poprzedników ani wielu następnych pisarzy. Robotnicy są u niego nadal przedmiotem społecznym a nie podmiotem.

Nie miejsce tu na analizę mojej pracy. Dostałem piątkę i wiem, że dużo zawdzięczam pracom redaktorów Króla, Jaździńskiego i Stelarskiego, którzy problem Judyma szeroko omówili na łamach „Wsi". Z moimi kolegami natomiast było trochę gorzej.

Szkoła przebija powoli warstwy tradycyjnego myślenia, ale nie dzieje się to na poczekaniu. Kto jest czulszy na rzeczywistość, ten prędzej rezygnuje ze starych wzorów działacza społecznego, ten prędzej zrozumie, jaki powinien być pionier nowej epoki i nowej Polski.

Dziś młodzież musi wiedzieć, że obejmie nie jakiś miły oku zakątek pracy, ale wyznaczony konkretnie potrzebami narodowymi posterunek pracy.

Tymczasem wzór dominujący młodego studenta jest jeszcze mieszczański. Jeszcze nawet chłopi, radykalni kiedyś na wsi, tępieją politycznie w mieszczańskiej atmosferze uczelni i głoszą nowy izolacjonizm inteligencki. A kopalnie, fabryki, ośrodki rolne?

Ja te rzeczy już rozumiem, bo mi się w życiu dobrze złożyło, choć było na początku źle. Przynależność do młodego i żywego ośrodka badawczego „Wsi" posunęła mnie w rozwoju znacznie szybciej niż kolegów. Wydaje mi się jednak, że cała młodzież ma tę samą szansę.

Na przykład „Wieś" skupia sporą gromadę młodzieży akademickiej, chętnie poświęca jej całe numery, chętnie drukuje wypowiedzi młodzieży. W moich stronach pismo to stanowi lekturę na Uniwersytetach Ludowych. Myślę, że i inne pisma postępują tak samo.

Ostatecznie przecież każdy maturzysta wie dziś dobrze, jak bardzo przy maturze pomaga lektura pism kulturalno-społecznych i literackich. Pomaga jeszcze w czym innym — mianowicie w doszukaniu się własnej roli społecznej.

P.S. Od września wracam na socjologię. Przez wakacje chcę zapoznać się z Ludwikiem Krzywickim i odwiedzić w okolicy „moje" koła młodzieżowe.

Jerzy Górecki

Gdybym znał dzieje „Proletariatu"...

Szanowny Kolego Redaktorze!

Zwróciliście się do mnie z prośbą, abym z punktu działacza młodzieżowego — ZWM-owca ocenił przydatność gimnazjalnego systemu wychowawczego do zadań społecznych, stojących przed młodym pokoleniem. Chcieliście ponadto, żebym napisał de se ipso.

Dręczą mnie jednak obawy, że moim życiorysem nikogo nie zaciekawię, przynajmniej, jeżeli chodzi o okres przedwrześniowy a nawet okupacji.

Od najmłodszych lat słyszałem, że urodziłem się inteligentem. Mój ojciec, urzędnik banku wychowywał mnie w cieniu swojego autorytetu, uzupełnionego przez matkę i ciotki, których jeszcze dziś mam równo sześć.

Pamiętam, że typowano mnie na inżyniera, ponieważ od najwcześniejszych lat majstrowałem przy elektryczności, reperowałem Fuchenkę gazową, czasem meble. Ojciec wnosił z tego, że kiedyś będę dobrym konstruktorem.

W pierwszych latach gimnazjum kułem na pamięć łacinę, umiałem sporo wierszy na Święto Matki, Lasu, Trzeci Maj, i imieniny dostojników państwowych. Co niedziela chodziłem „w parze" do kościoła pod czujnym okiem księdza. Należałem do kółka tilomatów, sportowego i harcerstwa. Co roku jeździłem na obozy harcerskie. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek miał jakieś troski, jakieś obawy o swój przyszły los. Podobnie moi koledzy, w olbrzymiej większości

synowie lekarzy, adwokatów, urzędników państwowych i fabrykantów. Każdy z nas miał niejako już z góry przewidziane miejsce.

Nie umiałbym Wam, Kolego Redaktorze, powiedzieć, czy byłem bezradny wobec narastających w ostatnich latach przed wojną konfliktów społecznych, ponieważ nie odczuwałem żadnych zainteresowań w tym kierunku.

Któż bowiem mógłby je rozbudzić? Napewno nie „ciało pedagogiczne" — gromadka pocieszych staruszków. Ograniczali się oni do podawania nam przepisanych programem wiadomości, bez jakiegokolwiek wiązania ich ze światem współczesnych wydarzeń politycznych, czy społecznych. Odnosiło się to szczególnie do nauk humanistycznych. Rok 1905 w sławetnym podręczniku do historii pań Moszczeńskiej i Mrozowskiej — to była wojna rosyjsko-japońska i wyprawa Piłsudskiego do Mikada a nie tragedia PPS-u i S.D.K.P. i L. rozbijanych przez frakcję rewolucyjną.

Gdybym znał dzieje „Proletariatu" — Waryńskiego, późniejszej PPS, patrzyłbym może inaczej na strajki robotników, których pamiętam sporo. Inaczej także oceniałbym manifestacje pierwszomajowe.

A tak, to wystarczała mi opinia ojca, który wraz z kolegami — inteligentami studiował w tym czasie prawo w Petersburgu. Więc ojciec mawiał, ilekroć słyszało się o strajkach: wor buntowszczyki!

Ja — Kolego Redaktorze — nie oskarżam. Przemawia przeze mnie żal. Dziesiątkom tysięcy młodzieży mieszczańskiej, zdolnej przecież i wrażliwej społecznie, dano w szkole tak potężny zastrzyk znieczulający na nędzę mas, antagonizmy klasowe, dzieje najliczniejszych w narodzie chłopów i robotników, że nawet dziś obraca się w rzeczywistości jakby pod narkozą i krzyczy w tym półśnie, że boi się operacji dotychczasowego sposobu myślenia.

Wojna stanowiła w mym życiu przełom. Ojciec zdegradowany ekonomicznie musiał pracować w młynie — ja w tartaku. Układałem deski wraz z dziećmi miejskiego proletariatu i synami chłopskimi, którzy dochodzili z okolicznych wsi. Opowiadali mi oni — nie wyłożoną w szkole — prawdziwą historię zbędnych na wsi i tych z miejskich przedmieść. Zacząłem wtedy liczyć, iluż nędzarzy chłopskich mogło być w okolicznej gminie, powiecie, kraju. I dochodziłem do przerażających swą wielkością cyfr.

Te rozmowy stały się początkiem najważniejszej w moim życiu sprawy do rozwiązania i chyba dzięki nim wstąpiłem zaraz po wojnie do Związku Walki Młodych.

Liceum kończyłem już w wolnej Polsce. Nie będę tu wdawał się w szczegółową analizę wartości społecznej wykładanych przedmiotów. Mamy w Polsce już za sobą długą i wyczerpującą dyskusję na ten temat.

Jeżeli chodzi o nauczanie literatury polskiej, pozwolę sobie na kilka pytań: czy to prawda, że Polacy pisali tylko wtedy, kiedy byli w niewoli i trochę w latach międzywojennych? Czy to prawda, że po ostatniej wojnie zarzucono zupełnie literaturę? Bo, wiecie, Kolego Redaktorze — po dwu latach nauki odniosłem takie właśnie wrażenie. Jak za czasów mego ojca skończyliśmy na Wyspiańskim i Żeromskim. Przy samym końcu roku szkolnego, tuż przed maturą, dowiedziałem się, że w latach międzywojennych pisali Kaden, Tuwim, Sieroszewski, Nowakowski. A to, co po wojnie, to już nie literatura.

Nie mówię o sposobie ujęcia. Wystarczy już sam tylko zakres. To miało stanowić wyposażenie młodego działacza społecznego od strony literatury do pracy w organizacjach młodzieżowych.

Przy uroczystym wręczaniu matur mówił nam Dyrektor, że szkoła w nowej Polsce Ludowej realizuje hasła rzucone ongiś przez Konarskiego i Komisję Edukacyjną — wychowania młodzieży do konkretnych zadań w społeczeństwie. Podniosły głos, szlachetne wzruszenie i... tużurek przypominały żywo mego przedwojennego Dyrektora. Może tylko treść słów była nieco inna. Tam wzruszenie pod legiony, tu pod demokrację ludową.

Kolego Redaktorze, to są smutne sprawy i może będą mi mieli za złe moi doniedawna wychowawcy, że je poruszam. Jestem jednak działaczem młodzieżowym, więc mam chyba prawo zabierać głos na łamach Waszego pisma.

Ja wiem, że bieżący rok w sposób szczególny należy do młodzieży. Jednoczymy się, zjedziemy się niedługo we Wrocławiu, jako jedna już gromada i będziemy się bić z łopatą w ręku, w fabryce, czy nad książką o „poszarpany ideał narodu". Piszę, a Wy to przyjmijcie, że toczyliśmy walkę już na ławie szkolnej, jakże, o ironio, często — z własnymi wychowawcami. Bo kiedy oni przesłaniali nam prawdziwe dzieje pańszczyźnianego chłopa sielankowymi pieśniami Kochanowskiego, to myśmy na własną rękę czytali „Dzieje gospodarcze Polski" — Rutkowskiego. Na miejsce Chrzanowskiego, bogoojczyźnianego krytyka usiłowaliśmy znaleźć rzeczywiste uwarunkowanie społeczne dla naszej literatury.

Kiedy wykładający zagadnienia życia współczesnego mówił, że taka demokracja jest prawdziwa, w której każda klasa społeczna, każde większe środowisko może mieć własną partię polityczną — to myśmy męczyli się nad wydawnictwami biblioteczki marksistowskiej, żeby znaleźć podstawy ideologiczne dla jednej organizacji całej młodzieży narodu.

To są smutne prawdy, Kolego Redaktorze, tym więcej jednak trzeba o nich pisać.

Ja w swoim środowisku jestem prawie sam. Życiorys i moje dzieje nie są typowe. Większa część moich współkolegów została po drugiej stronie barykady. To są ci, którzy nie pracowali nigdy na tartakach z synami wiejskiego i miejskiego proletariatu. To są ci, którzy nie chcą czytać współczesnej literatury, ani tygodników literackich czy społecznych, ani miesięczników naukowych. Oni nie pojadą do Wrocławia inaczej, jak tylko w charakterze turystów zwiedzających wypoczynkowo Wystawę Ziem Odzyskanych.

Mnie ten fakt boli, bo to są chłopcy bardzo zdolni i nawet nieźli. Oni by przeszli na naszą stronę, gdyby im pomogła szkoła. Myślę, że w tym świetle mój może zbyt ostry list będzie jednak usprawiedliwiony.

Napiszę jeszcze do Was z naszego letniego obozu społecznego.

Henryk Pietras

Wyznanie

MAM pisać „wyznanie" maturzysty dla tyg. „Wieś". Czynię to z zakłopotaniem. Jak daleko sięga moja pamięć i mego ojca nikt z naszej rodziny nie zabierał w ten sposób głosu. Mój dziadek nie grzeszył znajomością sztuki pisania, ojciec zna ten kunszt o tyle, że umie się podpisać.

A ja mam już maturę. Jest to poważny awans, który umożliwia mi dalsze studia. Mam także za sobą długi okres walki o świadomość klasową.

Przy pomocy mego ojca i matki sprawił Stwórca, że urodziłem się chłopem. Życie moje byłoby zapewne mniej skomplikowane, gdyby mój ojciec podzielał ogólne na naszej wsi przekonanie, że chłop jest niezbędnym dodatkiem do ziemi. Pasłbym wtedy najpierw gęsi, później może zaawansował na poganiacza bydła. Cóż, kiedy uradzono jednak w domu, że trzeba mnie uczyć, bo kto wie — może zostanę księdzem, może naczelnikiem poczty w gminie, albo (spraw dobry Boże!) — panem doktorem.

Sprawiłem wszystkim zawód. Najbardziej chyba rozczarowała się moja ciotka, ta co ma sklepik w Łodzi i u której przebywałem na stancji.

Najpierw jednak chodziłem do wiejskiej szkoły powszechnej. Rady rodziców, częściowo i rózga pana nauczyciela sprawiły, że uczyłem się dobrze. Pamiętam, że początkowo czułem się na lekcjach historii nieswojo, szczególnie gdy nauczyciel tłumaczył, jak to szlachta kochała ojczyznę i biła się za nią. Pan nauczyciel był zdania, że ten jest prawdziwym patriotą, kto z każdej pozycji społecznej, wyznaczonej mu przez Opatrzność i „przyrodzony porządek" potrafi kochać Polskę.

Mój dziadek miał zupełnie inny pogląd na szlachtę. Wyrażał się o niej źle, z goryczą wspominał pańszczyznę, ale co on mógł wiedzieć? Nie chodził przecież do szkół, nie umiał się nawet podpisać.

Uczyłem się dalej już w mieście, gdzie, jak już wspominałem, umieszczono mnie u ciotki za sklepikiem z norymberszczyzną. Tutaj, pod wpływem zmienionych warunków następował szybki proces asymilacji przez nowe środowiska społeczne. Wchłaniało mnie drobnomieszczaństwo. Podobnie jak większa część młodzieży chłopskiej zatraciłem poczucie przynależności do swojej klasy, czułem nawet poważny żal do Boga i rodziców za moje „chamskie" pochodzenie.

I nie wiem, jakby potoczyły się dalej moje losy, gdyby nie to, że w gimnazjum zetknąłem się poraz pierwszy z Sienkiewiczem. Początkowo byłem pod silnym jego urokiem. „Trylogia" wzbudziła we mnie szczery zachwyt dla pięknych postaci bohaterów, szczególnie zaś dla Jaremy. Jednocześnie rosła pogarda dla buntów chłopskich przeciw szlachetnemu rycerstwu. Może dlatego łatwo wytłumaczono mi w gimnazjum sprawę Jakuba Szeli. To taki mały, zbuntowany Chmielnicki.

A kiedyś, zupełnie zresztą przypadkowo, wpadła w moje ręce „Historia Chłopów Polskich" Aleksandra Świętochowskiego. Już sam tytuł książki narzucił mi kilka pytań: Jakto więc i chłopi mają swoją historię? Jakże wygląda ich historia? Piękniejsza od szlacheckiej?

Rzuciłem się na tę lekturę, jak kiedyś pokolenie Borowicza na Buckle'a. Dziadek mój miał rację.

Odtąd nastąpił w mym życiu zasadniczy przełom. Było we mnie coś z nawrócenia syna marnotrawnego. Zacząłem się coraz żywiej interesować ruchem ludowym. Sienkiewicza zobaczyłem w zupełnie innym świetle. Ukazało mi się prawdziwe oblicze walk z kozakami, rozwiał się nagle mit otaczający domniemanych obrońców chrześcijaństwa i cywilizacji. U podstaw szlacheckiego „Drang nach Osten", leżała chęć ujęcia w system pańszczyźniany wolnych jeszcze zaporożców, chęć zdobycia dalszych obszarów pszennej ziemi pod pierwsze gospodarstwo kapitalistyczne — folwark.

Nic na to nie poradzę, że nie Sienkiewicz, ale właśnie Chmielnicki wydał mi się obrońcą godności człowieka.

Przyszły także refleksje ogólniejsze. Dlaczego musiałem poza szkołą szukać historii chłopów, dlaczego pierwszym pisarzem, z którym się zetknąłem był właśnie Sienkiewicz i wreszcie dlaczego trafił on na doskonale przygotowany na triumfalne przyjęcie grunt — już w szkole powszechnej?

W klasach licealnych czyniono nieśmiałe próby wprowadzenia w program nowych pisarzy. Ja, zawdzięczam bardzo dużo Kruczkowskiemu, Wasilewskiej, czy Broniewskiemu. „Kordian i cham", czy „Ojczyzna" pozwoliły mi zapoznać się z rewolucyjną myślą w naszej literaturze, odsłaniały nieznane dotąd walki klasowe. Ale to są dopiero próby.

Literatura zawsze była dla mnie jednym z najbardziej ulubionych przedmiotów, jednak metoda poznawania dzieł nie zawsze wyczerpywała niepokoje, jakie odczuwaliśmy. Bomba pękła przy omawianiu Prusa. Przy interpretowaniu „Lalki" mówiło się powierzchownie o poszczególnych klasach społecznych, ograniczając się właściwie do psychologicznej analizy postaci, ze szczególnym uwzględnieniem Wokulskiego — człowieka o dwu duszach — romantycznej i pozytywistycznej. Później przeprowadzało się analogie między Wokulskim a Prusem, który był też trochę romantyk, trochę pozytywista. I mówiono mi jeszcze, że Wokulski to jednostka wartościowa, bo chce budować, handlować, podnosić. I, że najlepiej byłoby żeby w duszach wszystkich Polaków dokonała się synteza tych dusz z wyłączeniem miłości romantycznej. To miało wystarczyć przyszłemu maturzyście. Możeby i starczyło, gdybym nie kupił sobie książeczki Jana Kotta „O „Lalce" Bolesława Prusa".

Kott proponuje, aby dyskusje nad literaturą odbywały się na płaszczyźnie socjologicznej; zarzuca dotychczasowym badaniom, że tworzą sztuczną rzeczywistość literacką, w skład której wchodzą „biografie pisarzy, książki które napisali, dzieła, które przeczytali albo mogli przeczytać, listy które wymienili ze sobą, kobiety w których się kochali, czasem jeszcze powstania, w których brali udział lub nie brali udziału". I to jest racja.

Miałem szczęście przeczytać Kotta przed maturą, ale prace współczesnych krytyków literackich prawie nie docierają do szkoły średniej. Na maturze są z tego powodu kłopoty. Dlaczego? Wydaje mi się, że nauczyciel — wykładowca nie jest rentierem, który osiągnął raz na zawsze jakieś quantum wiedzy i dawkuje ją uczniom. Nauczyciele muszą się też rozwijać, skoro rozwija się nauka. Inaczej będziemy wszyscy zmuszeni uczyć się poza szkołą.

Kończę już uwagi maturzysty. Ja, syn małorolnego chłopa, którego dziadek nie umiał pisać, rozpocznę za kilka miesięcy studia na uniwersytecie. Będę studiował socjologię, ponieważ, jak mi się zdaje, nauka ta ukaże mi mechanizm zjawisk społecznych tak że już niedługo każdy fakt społeczny, kulturalny czy polityczny będę mógł sobie z innym wyjaśniać na szerokim podłożu historycznym.

Irena Gałuszko

Z drobnomieszczaństwa

(Listy 17-letniej absolwentki po „małej maturze")

Wojkowice-Komorne, 10.VI.1948 r.

DRODZY REDAKTORZY!

Rozmowa z Wami pokazała mi błędy mego wychowania, ale mam nadzieję, że jeszcze mogę się zmienić. Wydaje mi się, że wina złego wychowania nie obciąża całkowicie mnie — tak się ułożyły warunki i to nie tylko moje, ale tysięcy dziewcząt z tego co i ja środowiska. Jak daleko byliście od prawdy, że wychowałam się „w saloniku". Nie mogłam się w nim wychowywać, bo go nie miałam, bo jestem na to za biedna. Ojciec mój jest szewcem a matka „domową" kobietą. Widzicie, że środowisko i dom, z którego wyszłam nie dały mi obecnego wychowania. Dom dał mi tylko wiele ciepła rodzicielskiej miłości i może przestarzałe ale zdrowe zasady moralne. Cenię bardzo mych rodziców za to, że chociaż sami mają mało kultury, starali się wszelkimi siłami dać mi możność uczenia się, dali mi więcej niż dać mogli. Gdyby nie wybuch wojny, byłaby może inna, wielka niesprawiedliwość wprowadziła mnie na dobrą drogę. Stało się inaczej: kiedy miałam 9 lat wybuchła wojna. Nie wiedziałam jeszcze wtedy co dobre, a co złe. Umiałam zaledwie czytać i tę zdolność wykorzystałam niekorzystnie dla siebie. Zaczęłam czytać książki jakie mi wpadały w rękę, bo nie miał kto wybrać mi odpowiedniej lektury i to siało ferment w duszy wchodzącego w świat dziecka. Po wyzwoleniu wstąpiłam do ZWM-u, lecz wkrótce spotkał mnie zawód. Młodzież zbierała się w lokalu po to, by tańczyć i flirtować. To nie była atmosfera dla 15-letniej dziewczyny. Wystąpiłam — zdałam egzamin do gimnazjum, zaczęłam się uczyć. Wpływ mieli teraz nade mną nauczyciele. Uczyłam się dobrze — świadectwa miałam coraz lepsze. Chwalono mnie i to nie pozwoliło mi dojrzeć błędów. Wstąpiłam do Z.H.P., tutaj powierzono mi prowadzenie drużyny. Już kiedy ją prowadziłam, zaczęłam zmieniać częściowo swe poglądy. Widziałam i widzę, że drużyna moja to organizacja przestarzała, ale naiwność młodzieńcza kazała mi wierzyć, że ją zmienię, że tchnę w nią nowe życie. Zaczęłam powoli w gawędach przygotowywać dziewczęta do zmian i wtedy spotkałam się z opinią takiej, co jest nastrojona na czerwono. Pracowałam dalej, wierząc w skutek, lecz daremnie. Nawiązałam współpracę z ZWM-em, lecz i to nie zmieniło mych dziewcząt. Zwątpiłam i dałam wszystkiemu pokój. Znów wpływ mieli na mnie nauczyciele i to wielki. Nie opierałam się, a mimo to oni mnie nie rozumieli i ja ich. Stworzyłam sobie **swój własny świat.** Teraz Wyście rozwiali mi ten świat samotności i nie wiem, o co się mam oprzeć by się przydać? Będę czymś, czy też niczym? Pytanie, na które nie mam odpowiedzi.

*

Zwardoń, 9. VII. 1948 r.

DRODZY REDAKTORZY!

Bardzo dziękuję za list i za książki. Nie sądziłam, że napiszecie i dlatego list Wasz był dla mnie wielką niespodzianką. Zrozumiałam dopiero teraz że to co ja łączyłam z pojęciem moralności nie ma z nią prawie nic wspólnego. Miałam nieraz w stosunku do niej pewne zastrzeżenia i dlatego pisząc do Was nazwałam ją „przestarzałą moralnością". nie było to trafne. Dzisiaj nazwałabym ją **wykolejoną moralnością** i gdyby teraz ktoś powiedział o mnie to, co przedtem przyjmowałam jako słuszną ocenę że jestem „dobrze wychowana i inteligentna", z pewnością wybuchnęłabym szczerym śmiechem.

Porzucam te złudzenia, tylko czy nie za późno? Moim zamiarem jest zmienić samą siebie. Powiecie, że to jest złe, że to znów „zwrot do samej siebie", ale co ja mogę dać innym, kiedy sama zawieram tak mało treści społecznych?

Jedną z książek, a mianowicie prof. Chałasińskiego już przeczytałam, zaczęłam drugą. Przyszło mi na myśl, że gdyby mi już od dziecka dobierano odpowiednią lekturę byłabym z pewnością inna. Ta książka to przecież w wielu wypadkach odbicie drugiego środowiska, do jakiego mnie pcha kochająca rodzina. Zaczęłam je teraz obserwować sama nie przez szkła uznania, ale krytyki i doszłam do wniosku, że nie tylko szkoła uczyniła mnie tym, czym jestem, ale rodzice, którzy są typowymi przedstawicielami środowiska drobnomieszczańskiego, szczególnie matka, bo ojca znam bardzo mało. Macie rację. Pamiętam dobrze zdania matki, wygłaszane do mnie i koleżanek w rodzaju takich jak to — (ów pan) „jest bardzo przystojny i wystarczy spojrzeć na niego, aby odrazu poznać, że jest człowiekiem inteligentnym i na wysokim stanowisku". Ładna twarz, miły uśmiech, fałszywy komplement, potoczystość wymowy, ładny strój a do tego matura — to w zupełności wystarcza, by zdobyć uznanie w moim macierzystym środowisku i co gorsza, w tym ruchomym środowisku na dorobku uczących się synów i córek, moich kolegów i koleżanek z miasteczek i przedmieść.

Jestem obecnie na obozie harcerskim pierwszy raz w roli komendantki i ostatni w ogóle na obozie. Wszystkich dziewcząt jest 16 a każda inna. Są to dziewczęta z różnych środowisk i w różnym wieku. Większość w moim wieku, ale są też o wiele starsze, już pełne inteligentki z maturą, reszta ukończyła gimnazjum. Domyślacie się że to moja drużyna, w której nic się nie zmieniło, nic nie poszło naprzód. Jeśli zaszła jakaś zmiana to tylko ta, że dziewczęta są zadowolone, rozbawione, ale poglądy mają te same. Ja nie staram się ich zmienić, bo tego jeszcze teraz nie potrafię, zostawię je w spokoju.

W sierpniu miałam pojechać na kurs harcerski, lecz odwołałam zgłoszenie, nie pojadę, postanowiłam że kończę swą pracę w harcerstwie, która kosztuje mnie wiele wysiłków, a nie jest produktywna. W pierwszych dniach obozu zrobiłam bardzo przykre odkrycie, któremu jednak nie dziwię się, po przeczytaniu książek, jakie dostałam od Was, bo znalazłam wytłumaczenie. Dziewczęta z jednej drużyny, z jednej szkoły nie potrafiły z sobą współżyć, coś je dzieliło, dzieliło — pochodzenie. Dotychczas już się zżyły, ale dziewczęta z rodzin robotniczych i chłopskich przystosowały się do dziewcząt z rodzin urzędniczych, te nie ustąpiły, jak zwykle. Prowadzę ten obóz bez zapału, prowadzę go tylko dlatego, aby nie zepsuć dziewczętom wakacji. Ale gdyby mnie ktoś zastąpił, bez cienia żalu odjechałabym stąd, a właściwie od nich, od takich. Pod wpływem Waszych uwag, przeczytanych książek i własnych obserwacji, nasuwają mi się ciągle nowe myśli, niestety nie mogę się nimi podzielić z dziewczętami, bo żadna mnie nie rozumie, tak jak niedawno temu i ja bym jeszcze nie zrozumiała.

Proszę, napiszcie znów do mnie.

Leonard Sobieralski

PRZED NAGRODĄ „ODRODZENIA"



Adolf Rudnicki

Wśród zainteresowanych literaturą krążą plotki, że tegoroczne posiedzenie jury nagrody „Odrodzenia" będzie obfitowało w emocjonujące momenty. Upoważnia ponoć do tego rodzaju przypuszczeń zmieniony skład jury, no, i przede wszystkim to, że w ostatecznych eliminacjach, jak wynikałoby z dotychczasowych opinii na łamach pism literackich, wysunęli się dwaj równorzędni kandydaci. Gdy wymienię nazwiska, nie będzie to owocem jakiejś zakulisowej wiedzy, ale po prostu wyciągnięciem wniosku z tego, co dotychczas się w prasie powiedziało na temat książek, jakie ukazały się w roku bieżącym. Wszystkim jest wiadomo, że najżywszą dyskusję wywołały i najbardziej opinią czytających wstrząsnęły książki: „Popiół i diament" Jerzego Andrzejewskiego i „Szekspir" Adolfa Rudnickiego. Można więc liczyć, że jednemu z nich przypadnie laur „Odrodzenia".

I.

Razem z naszym czytelnikiem nie jesteśmy w stanie zaważyć na decyzji jury, możemy jednak przygotować się świadomie do przyjęcia rozstrzygnięcia, które padnie w gmachu „Czytelnika" na Wiejskiej 14 w Warszawie. Możemy mianowicie prześledzić sądy naszej krytyki, jakie padły w związku z wymienionymi utworami. Zacznijmy od Andrzejewskiego.

Nie ma chyba bardziej spornego dzieła w powojennej literaturze, jak właśnie „Popiół i diament". Sądy o tej powieści rozpadają się na trzy grupy. Pierwszą z nich stanowi „Odrodzenie" i „Twórczość", drugą: „Tygodnik Powszechny" i „Dziś i Jutro", trzecią: „Kuźnica" i „Wieś". Zreferujmy stanowisko pierwszej grupy. Wypowiedzi nad książką Andrzejewskiego otwiera głos prof. Juliana Krzyżanowskiego. Stwierdza on w artykule: „Pokolenie zagubione w wolności" („Odrodzenie" Nr. 13—14), że książka jest „wspaniałym dziełem", dlatego, że „uświadamia czytelnikom pełne znamienne właściwości czasów powojennych w sposób, na który publicystyka zdobyć się nie może, mimo, iż sama sprawa należy może do najistotniejszych zagadnień chwili bieżącej i domaga się, byśmy sobie jej tragiczną doniosłość uświadomili".

O wartości więc dzieła decyduje według autora artykułu podjęcie samego problemu przez Andrzejewskiego. Ta sprawa jest rozstrzygająca dla sądów pierwszej grupy. I tak Henryk Markiewicz w „Twórczości" mówi: „Nowa powieść Jerzego Andrzejewskiego budzi szacunek już przede wszystkim przez swoje ambicje: jest to pierwsza z powojennych książek, będąca próbą artystycznego poznania i osądu nowej rzeczywistości polskiej...".

Markiewicz nie uważa, że „Popiół i diament" należy uznać za dzieło doskonałe — „jest dziełem zbyt poważnych zamierzeń, by napisać, że zadanie to zostało spełnione". Markiewicz mimo swoich zastrzeżeń nadaje wysoką rangę powieści Andrzejewskiego. „Popiół i diament" będąc powieścią o kresie nocy, o cieniach, które postawiła, nie stał się powieścią o — „zwycięstwie zarania". Nie jest to także rachunek skończony: na pytanie, które stawia jej motto, nie otrzymujemy odpowiedzi. Ale rzetelne zdobycie części tej prawdy, podjęcie tego trudnego rozrachunku stawia „Popiół i diament" wysoko we współczesnej twórczości literackiej. Bo jest to książka, która od spraw najbardziej ważkich nie ucieka na nęcące marginesy rzeczywistości". (Twórczość Nr. 3, rok 1948: „Powieść o kresie nocy"). Inaczej na książkę patrzy recenzentka „Odrodzenia" p. Zofia Łuczek, całkiem bez zastrzeżeń. Według niej „współczesność i aktualność problematyki powieści nie naraziła autora na płacenie procentów od artyzmu". Wprost przeciwnie — uważa, że autor zdobył się tu na adekwatne środki wyrazu: „...Realistyczna tkanka powieści „Popiół i diament" nasycona bytem i sprawami tak doskonałych postaci epizodycznych jak Jurgeluszka, Słomka, Świecki, Drewnowski, Wejchert sprawia, że powieść ta jest bliska współczesnemu czytelnikowi nie tylko swoją problematyką, lecz również sposobem jej formalnego ujęcia" (Odrodzenie Nr. 16: „Popiół i diament").

Tak wygląda jedna ze stron sądzących. Walor książki Andrzejewskiego tkwi w podjętym przez niego temacie — oto résumé powyżej przytoczonych wywodów.

Cóż na to recenzenci z pism katolickich? Uwagę ich skupi zupełnie inna sprawa: rzemiosło, dobra budowa powieści i w ogóle kunszt pisarski Andrzejewskiego, drażni ich ideologia wyrażona w dziele. Wojciech Kętrzyński i Z. Starowieyska - Morstinowa będą starali się rozbroić książkę z jej ładunku ideologicznego, cały wysiłek położą na zbagatelizowanie a raczej zneutralizowanie podstawowego problemu dzieła. Andrzejewski jest świetnym artystą — przesłanka pierwsza, autor nie jest w stanie zająć w nowej rzeczywistości określonego, zdecydowanego stanowiska, przyjmuje postawę szukającego — przesłanka druga, stąd niby wniosek nieodparty: braki są po stronie tej rzeczywistości, na którą się Andrzejewski „przepisał", dzieło powinno stać się dla niego ostrzeżeniem — droga powrotna nie jest przed nim zamknięta. Ale oddajmy głos krytykom. Pani Z. Starowieyska - Morstinowa:

„...Jest jasne, że Andrzejewski chce się wypowiedzieć po stronie tak zwanej nowej rzeczywistości. Ale jego opowiedzenie się — choć nie wątpię, że wypływa z pobudek i przekonań szczerych — pełne jest w pewnym sensie zastrzeżeń i skrupułów. Chce widzieć — i widzi cienie strony, po której się opowiada. Chce je uczciwie przedstawić i zanalizować. Uczciwie usiłuje ocenić błędy i zbrodnie przeciwników nie podsuwając im złej woli, lecz jedynie błędne przekonania, pomyłki, obałamucenie. Ale powtarzam, jego postawą zasadniczą jest szukanie...".

Ale czy warto szukać tam, gdzie, jak chciałaby sugerować nam recenzentka, nie ma wiele do odnalezienia, a poszukiwania doprowadzą do klęski artystycznej; czy nie słuszniej byłoby pójść autorowi wyznaczoną przez nią drogą ujętą w słowa: „Miłość, maj". Ostatni człon tytułu: „Czerwone sztandary" wypadł autorowi fałszywie... więc chyba to nie jego specjalność. Według więc rady życzliwej recenzentki autor „Popiołu i diamentu" nie powinien się posuwać poza „Wiosnę i maj": „Póki nie schodzimy wgłąb ludzkiej psychiki, ludzkich wewnętrznych walk i udręczeń, pozostajemy w świecie doskonale żywym i idealnie prawdziwym. Życie soczyste, barwne, wspaniałe życie, leży dookoła nas płatami. Jesteśmy nim oczarowani. Jesteśmy w jego bogaty wir wciągnięci... Andrzejewski ewokuje przed nami rzeczy i obrazy językiem przedziwnie prostym, językiem wypranym z przenośni i porównań, zrodzonym z samowystarczalnych rzeczowników... I tak piękna, tak żywa, jest ta książka, że gdy leży na stole, ma się wrażenie, że cały pokój napełnia wilgotna świeżość bzu. **I mniej się myśli po przeczytaniu jej o polityce i dniu dzisiejszym, a więcej o wiośnie, miłości i maju, oczywiście także o czerwonych sztandarach. Ale te czerwone sztandary są więcej podobne do stylowej dekoracji, niż do haseł bojowych".** (Tygodnik Powszechny Nr 21/166, „Miłość, maj i czerwone sztandary").

Tyle w powieści zobaczyła p. Z. Starowieyska - Morstinowa.

Jaka rada dla autora? Ano! Wino, Wiosna i Maj czyli rok 1922. Można o kotlecie schabowym, plaży, bukieciku fiołków i pokoju hotelowym, ale broń Boże o czerwonych sztandarach, bo to przecież już nie wychodzi — ginie artysta.

Pani Starowieyska - Morstinowa uznaje w Andrzejewskim poetę rzeczy, całkiem co innego mówi Wojciech Kętrzyński w „Dziś i Jutro", dostrzega on w nim świetnego psychologa — owszem, tylko ta ideologia! ta ideologia!

„...O ile literacko wydaje się, że Andrzejewski pokazał klasę wysoką, prawdę psychologiczną potrafił z każdej postaci wydobyć w całej pełni, o tyle zawiódł moim zdaniem na najważniejszej i najtrudniejszej płaszczyźnie ideowej. To było do przewidzenia. Jest przecież „katechumenem", stojącym w przedsionku współczesnej rzeczywistości ideowej...". Żaden z bohaterów Andrzejewskiego, nawet ci, „najtwardsi" niczym nie wykazują, by ten porządek, ów „ład serca" potrafili w sobie wypracować. Dlatego nawet słowa Szczuki, który w intencji autora miał być postacią najbardziej zwartą, brzmią pusto. Dlatego nie potrafimy na płaszczyźnie ideowej z jego tezami dyskutować. „Człowieku, wołamy do niego z żalem, po coś uciekał?" („Dziś i Jutro" Nr. 18, „Popiół i diament"). Krytycy więc z „Tygodnika Powszechnego" i „Dziś i Jutro" wabią syrenimi głosami Andrzejewskiego do powrotu, posługując się specjalnymi chwytami, by wywołać w nim na płaszczyźnie sztuki zniechęcenie do nowej wiary.

Jaki jest sąd o Andrzejewskim „Kuźnicy" i „Wsi"?

Jan Kott w artykule drukowanym w „Kuźnicy" przekreśla sądy wyrażone przez grupę: „Odrodzenie" i „Twórczość". Godzi się tylko na jedno, że powieść Andrzejewskiego toczy się w głównym nurcie, że „wyczuwa się tu postępowe zamierzenia autora", że „pierwszy w powieści powojennej odważnie i uczciwie podjął próbę realizmu o tematyce współczesnej", ale to i wszystko. Zarzutem Kotta największym jest, że autor „Popiołu i diamentu" **nie dostrzegł właściwie historii.** Widzenie świata dokonuje się u Andrzejewskiego w ramach „małego realizmu". To rozstrzyga o kalibrze powieści: „Książka Andrzejewskiego jest dla mnie właśnie typowym przykładem powieści, w której co innego mówi czy chce powiedzieć autor, a zupełnie co innego mówi logika konstrukcji. Mały realizm posiada swoją filozofię, powiedziałbym nawet więcej, własne zapatrywania polityczne i własną moralność. W „Popiele i diamencie" ten mały realizm mówi swoje bardzo jaskrawo, krzykliwie i wyraźnie, wbrew temu wszystkiemu, co Andrzejewski wkłada w usta swoim peperowcom, wbrew nawet temu, co sam zamierza powiedzieć..." („Kuźnica" Nr 18 „Próba realizmu"). To więc, co tak bardzo podobało się w Andrzejewskim p. Starowieyskiej-Morstinowej nie znajduje absolutnie łaski w oczach Jana Kotta. Według niego nie zadrgała w dziele Andrzejewskiego dzisiejsza rzeczywistość w swoim bogactwie, natężeniu i komplikacji, nie zadrgała, bo nie została w ogóle dojrzana. Kott sądzi, że autor „Popiołu i diamentu" czuje i myśli nadal w kategoriach tego świata, od którego się odwrócił. Zbliżone stanowisko do Kotta zajmuje Lech Budrecki we „Wsi", stwierdzając, że koncepcja człowieka, konstrukcja losu ludzkiego niewiele się różni właściwie w „Popiele i diamencie" i „Ładzie serca". Tyle krytyka o Andrzejewskim.

Widzimy, że oceny są tu bardzo rozbieżne, często znoszące się. Czytelnik, gdy ma tę wiązkę naraz podaną, czuje się chyba w niemałym kłopocie, bo komu wierzyć, czy prof. Krzyżanowskiemu na słowo, według którego książka jest „doskonała", czy też Kottowi, dla którego „Popiół i diament" to owoc „małego realizmu", a więc owoc dnia wczorajszego. Wszystkie wymienione wyżej opinie zostaną na pewno rozpatrzone przez jury, nie wiadomo jaką monetę wybiją z nich zasiadający przy sędziowskim stole, faktem jest niewątpliwym, że krytyka oficjalna, otrzymująca swój obiektywny wyraz w pismach literackich dość dużo ambarasu sprawi tym, którzy laur „Odrodzenia" będą chcieli złożyć na głowie autora „Popiołu i diamentu". Przejdźmy z kolei do Rudnickiego.

II.

Sądy o autorze „Szekspira" inaczej się układają. Nie ma w nich rozbieżności i kontrastów. Jest co najwyżej stopniowanie. Jedni krytycy mówią, „że już osiągnął", drudzy, że „znakomicie przygotował sobie przedpole pod najpiękniejszą sztukę". Ktokolwiek jednak zabiera głos w sprawie Rudnickiego, przyznaje autorowi „Wniebowstąpienia" wysoką klasę pisarską. Nie mówi się tu o niewspółmierności zamiaru artystycznego i wykonania, nie mówi się o wielkim czy małym realiźmie, stwierdza się jedno — najpiękniejszą prozę współczesną, która niechętnie poddaje się operacji na analitycznym stole. Rozgryźć tę prozę próbowali i Wyka i Matuszewski i Korotyński i Maśliński i Jarczyńska i Noferowa. Posłuchajmy wprost ich głosów. Wyniknie też tu trochę zabawna historia, gdy Maria Jarczyńska z „Tygodnika Powszechnego" będzie wyłuskiwała z dzieła wszystko to, co „ponadczasowe" i powszechne, wiecznie ludzkie, a Ryszard Matuszewski cały akcent położy na zdefiniowaniu w „Szekspirze" wszystkiego historycznie, według czasu określonego. Wydaje nam się, że przegląd głosów o Rudnickim dobrze będzie rozpocząć od wypowiedzi Kazimierza Wyki. W artykule „Funkcja solidarnej pamięci" uważa on, że „proza Rudnickiego już przed wojną była prozą akompaniamentu historycznego. Ale w skali jego słuchu artystycznego i jego wrażliwości nie bardzo było czemu akompaniować. Stąd pisarz krążył po zaułkach, ustalał się na peryferiach. Prozatorem podobnego akompaniamentu pozostaje Rudnicki dzisiaj.

Ale w skali nie tylko jego słuchu, w skali słuchu powszechnego jest czemu akompaniować. Pisarz wychodzi z peryferii, staje w centrum. Przestaje szukać pobocznego uchwytu jednolitości, kiedy ten jest na każdym człowieku, na każdej sprawie, wówczas, gdy — „noc głęboko przebiła kości ludzkie".

Można by to jeszcze inaczej określić: Rudnicki stał się w myśl intencji Kotta przechadzającym się po drodze rzeczywistości okupacyjnej zwierciadłem i dlatego „nad akompaniamentem zaczyna górować funkcja pamięci o sprawach minionej wojny najbardziej godnych tej pamięci". („Funkcja solidarnej pamięci", „Nowiny Literackie" Nr. 25).

Stroną warsztatową twórczości Rudnickiego zajmuje się Maśliński. Przytoczymy dłuższy cytat z jego artykułu, bo wydaje nam się, że trafia w sedno sprawy:

„Trzeba ocenić mistrzostwo tej roboty. Już choćby stosunki czasowe, sposoby, jakimi autor przerzuca się w czas odległy od momentu opowiadania, by dostarczyć nowych argumentów, albo po prostu — barw kontrastowych — już te rzeczy dostarczają wiele radości miłośnikom dobrego pisarstwa. Żeby osiągnąć swoje, Rudnicki potrafi „czarować" w gawędzie. Opowieść staje się tak artystyczna, że niemal kuglarska — jak muzyka, jak trele flecisty szczurołapa".

„I sądzę, że teraz dopiero, od strony treści, możemy naprawdę odpowiedzieć na pytania, co fascynowało czytelników Rudnickiego. Oto, że znaleźli nie kaznodzieję, ale artystę, który mówiąc o sobie i swoich, gra na takich strunach, których by czytelnicy sami nie dopuścili do głosu. Poczucie współodpowiedzialności za sprawy świata, pokora już nie rzemieślnika sztuki słowa, ale duszoznawcy i przyszłego moralisty wyrażają się tu bez pomocy deklamacji gotowych formułek".



Jerzy Andrzejewski

Ryszard Matuszewski i Maria Jarczyńska dostrzegają w Rudnickim duszoznawcę i socjologa, oczywista Matuszewski „sub specie historiae", a Jarczyńska „sub specie aeternitatis". Pierwszy mówi: „Rudnicki nie interesuje się bowiem faktami, ze względu na sam ich przebieg. Rejestruje je wyłącznie po to, aby wyciągnąć z nich wnioski, ukazuje je od strony konkretnego, przeżywającego je człowieka, problematyzuje, stawia problem ludzki przy kanwie wydarzeń, w której kawały powszechnej i wspólnie przez nas wszystkich przeżytej historii wynurzają się nagle. Jak lodowiec z oceanu losów indywidualnych, w których bieg autor nas wtajemnicza" (Kuźnica Nr. 13—14, „Szekspir" czyli dojrzałość"). Recenzentka „Tygodnika Powszechnego": „...Jest to twórczość artysty o aspiracjach socjologa i filozofa, który stara się opisać, zdefiniować obserwowany casus, ustalić jego zakres właściwości i umiejscowić w skali etycznej..." Rudnicki według Jarczyńskiej „gromadzi różnorodne typy, obserwuje ich reakcje na te same doświadczenia, uwydatniając przy tym dwoistość rysunku — momenty charakterystyczne — malowniczość ukształtowaną przez czas i okoliczności — i to co tkwi pod powierzchnią — powszechnie wiecznie ludzkie..." (Tyg. Powszechny, 17 stycznia 1947 r. „O Rudnickim").

Całkiem inny wniosek z twórczości Rudnickiego wyciąga Alina Nofer. Uderza ją sama konstrukcja opowiadań w tomie „Szekspir". Recenzentce „Wsi" wydaje się, że te opowiadania zbudowane są na wzorach tragedii starożytnej — nie przypadkowo. Forma jest tutaj składnikiem uwarunkowanym samą koncepcją losu ludzkiego. W tej koncepcji Rudnicki ma być podobny Sofoklesowi. Nofer określa Rudnickiego jako pisarza „ginącego narodu". Powstrzymamy się od skomentowania tej wypowiedzi, proponuję tylko małą korektę. Rudnicki podjął się funkcji pisarza „skazanego na zagładę narodu". W tym określeniu motywacja metafizyczna przełamie się chyba w historyczną, a wtedy możemy nadal utrzymywać, że twórczość Rudnickiego to „zwierciadło przechadzające się po drodze rzeczywistości okupacyjnej".

Tak wyglądają opinie krytyki literackiej o dwóch najpoważniejszych kandydatach do nagrody „Odrodzenia". Niżej podpisany podjął się roli zreferowania tych opinii, pragnąc czytelnikowi ułatwić samodzielną, prywatną decyzję — komu nagrodę? A może nawet nie kierował nim i ten wzgląd. Ci dwaj kandydaci to była właściwie dobra okazja do przyjrzenia się, jakimi systemami ocen rozporządza nasza krytyka literacka. Doświadczenie dla autora artykułu nie było bardzo zadowalające. Że systemy ocen są różne, to jasne, bo różne są ideologie, którym one służą, ale nie ulega wątpliwości, że nie chwytają one całkowicie w swoją siatkę dzieła literackiego, są często zamazane i w swoich przesłankach niesprawdzalne. Krytyka jest tu jeszcze dość bezradna, nie ma ciągle wypracowanego języka, w którym by mogła wyjaśnić czytelnikowi bez reszty wartość dzieła literackiego.

W OSTATNIM NUMERZE 27 (156)

z dnia 4 lipca 1948 roku.

Jan Aleksander Król — Prawda polityczna; **Wiktor Woroszylski** — Solidarystyczna bezradność; **Wiersze:** — Dnieprostrój; Wiersz: **Tadeusz Kubiak** — Dobry wieczór w Grecji; Szkice gęsim piórem; **Jakub Litwin** — Uwagi o organizacji studiów humanistycznych; **Witold Jedlicki** — Wiara i historja; **Dyzma Gałaj** — Młodzież na widowni; **Wiesław Jażdżyński** — Notatki z Czechosłowacji; **Jerzy Falenciak** — Kapliczka i panoptycum; **Lili Szwengrub** — Warmia i Mazury; **Lech Budrecki** — Andrzejewski przed wojną; **Jan Huszcza** — Fotografia; **Anna Kamieńska** — List z Lublina; **Jerzy Andrzejak** — Objawienia w kulturze; **Fakty i zdania**. Komunikaty; 19 ilustracji; 1 stron.

Witold Łukaszewicz

14 LIPCA

(Wielka Rewolucja Francuska 1789 - 1794)

Walka rozwijającego się kapitalizmu z ustrojem feudalno-absolutnym stanowiła istotną treść burżuazyjnej Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Elementy ekonomiki kapitalistycznej rodziły się i formowały w XVIII w. we Francji w obrębie ustroju feudalno-absolutnego i w ciągłej z nim walce. Zasadnicze prawo społeczeństwa feudalnego — nie ma ziemi bez feudała — przeszkadzało rozwojowi gospodarki rolnej. Przedrewolucyjna Francja była krajem rolniczym o przeważającej liczbowo ludności chłopskiej, gnębionej różnorodnymi ciężarami przez prawnych właścicieli ziemi — seniorów, przez kler katolicki i urzędników królewskich. Ten potrójny ucisk rujnował gospodarczo wieśniaków i hamował postęp kultury rolnej oraz przestawienie gospodarki na tory kapitalistyczne za wzorem Anglii. Zwolnione tempo przenikania stosunków kapitalistycznych na wieś odbijało się ujemnie na rozwoju kapitalistycznego przemysłu, gdyż w takim położeniu wieś była słabym producentem surowca i stanowiła niedostateczny rynek zbytu dla produktów przemysłowych. Przemysł francuski nie nadążał za rozwojem fabrycznego przemysłu angielskiego. Wielkie zakłady przemysłowe o napędzie parowym były rzadkością, przeważała scentralizowana manufaktura i nakład, których produkcję hamowały rządowe przepisy reglamentacyjne, nadmierne podatki i różne średniowieczne ograniczenia cechowe. W tych warunkach przemysł nie miał zapewnionych należytych możliwości rozwojowych. Jeszcze gorzej przedstawiała się sprawa handlu, krępowanego przez cła wewnętrzne i zewnętrzne, monopole i niekorzystne nieraz traktaty handlowe z silniejszymi gospodarczo państwami.

Społeczeństwo francuskie przed rewolucją tworzyły trzy stany: duchowieństwo, szlachta i tzw. „stan trzeci", do którego należała cała pozostała ludność królestwa. Duchowieństwo i szlachta stanowiące 1,1 proc. ogółu ludności były stanami uprzywilejowanymi, dla których stały otworem godności kościelne, dworskie i wojskowe. Były one podporą tronu, korzystały z jego łask i nie ponosiły ciężarów podatkowych. 98,9 proc. ludności Francji przedrewolucyjnej stanowili nieuprzywilejowani, tworząc stan trzeci. Należało do niego chłopstwo i wszystkie odcienie ludności miejskiej, poczynając od burżuazji. Górne warstwy burżuazji składały się z dzierżawców podatków, finansistów, handlarzy niewolników, armatorów, właścicieli kopalń i były związane z dworem królewskim. Położenie ich mało różniło się od uprzywilejowanych. Odmienne było położenie średniej burżuazji: kupców i właścicieli manufaktur, którzy nie mając stosunków na dworze zależni byli od woli administracji i sądów królewskich. Potężna ekonomicznie burżuazja odczuwała boleśnie własne poniżenie polityczne i domagała się zniesienia nierówności stanowych. Spośród ludności miejskiej należeli także do stanu trzeciego rzemieślnicy, czeladnicy, robotnicy sezonowi, służba domowa, których położenie gospodarcze było wyjątkowo ciężkie. Była to masa politycznie niezorganizowana, idąca za burżuazją w walce z ustrojem feudalno-absolutnym.

Zagrzewali do niej wydatnie ideologowie burżuazji i mas ludowych w przededniu Rewolucji — Monteskiusz, Wolter, Encyklopedyści, Rousseau. Zaktualizował tę walkę kryzys finansowy monarchii Ludwika XVI, który spowodował zwołanie do Wersalu Stanów Generalnych. Weszło do nich po 300 deputowanych od duchowieństwa i szlachty oraz 600 przedstawicieli stanu trzeciego. Król spodziewał się, że przy pomocy burżuazji reprezentującej stan trzeci przeprowadzi niezbędną reformę podatkową i ocali byt monarchii feudalno-absolutnej; burżuazja i sprzymierzone z nią chłopstwo i plebs liczyły na rozszerzenie swych uprawnień politycznych oraz na poprawę warunków bytowania. Otwarcie Stanów Generalnych 5 maja 1789 r. uważają burżuazyjni historycy za początek Rewolucji.



St. Just
(Staloryt Pigeot'a)



Marat
(Portret Greredon'a)

W istocie hasło do niej dało dopiero **zburzenie Bastylii przez lud paryski w dniu 14 lipca 1789 roku.** Rewolucyjna burżuazja po odniesieniu zwycięstwa w Stanach Generalnych i ukonstytuowaniu się 9 lipca tego roku w Zgromadzenie Narodowo — Ustawodawcze (Konstytuantę) chwyciła ster władzy nad 600-tysięcznym Paryżem i ustanowiła w nim własne władze miejskie i własną siłę zbrojną — gwardię narodową pod komendą szlacheckiego liberała, markiza Lafayette'a. Paryż stał się od tej chwili motorem Rewolucji. Zburzenie Bastylii stało się sygnałem do wystąpień mas ludowych na prowincji. Ruszyli przede wszystkim chłopi przeciw panom feudalnym. Oddziały chłopskie podpalały pałace, niszczyły archiwa świadczeń feudalnych. Ruch chłopski (żakeria) rozszerzył podstawę Rewolucji i zapewnił dopiero jej zwycięstwo nad starym porządkiem.

W rozwoju wydarzeń rewolucyjnych dają się wyraźnie odróżnić trzy fazy. Pierwsza obejmuje okres od 14 lipca 1789 do 10 sierpnia 1792 r. Wypełniają ją rządy wielkiej monarchistycznej burżuazji liberalnej w Konstytuancie i Legislatywie. W tym czasie następuje zniesienie w sierpniu 1789 niektórych osobistych powinności feudalnych chłopa, z zachowaniem jednak najuciążliwszych świadczeń z tytułu posiadania ziemi; opracowanie Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela, gwarantującej wolność, równość prawną, bezpieczeństwo i opór przeciw uciskowi, i uznającej kapitalistyczną własność za nienaruszalną i świętą na gruzach własności feudalnej (majątki Kościoła i feudałów-emigrantów); zniesienie przywilejów stanowych, likwidacja cechów; rządowej reglamentacji przemysłu, zniesienie feudalnego podziału administracyjnego Francji przez stworzenie w miejsce tradycyjnych księstw i hrabstw — 83 departamentów; usunięcie ceł wewnętrznych; opracowanie jednolitego systemu miar i wag; konfiskata ziemi kościelnej na rzecz państwa i jej rozsprzedaż dla pokrycia nowego pieniądza papierowego czyli asygnat; wreszcie opracowanie liberalnej konstytucji cenzusowej 1791 r. dzielącej obywateli w zależności od wysokości opłacanego podatku na czynnych — pełnoprawnych politycznie, i biernych — pozbawionych udziału w wyborach do Legislatywy, na urzędy i w gwardii narodowej. Konstytucja 1791 r. utwierdziła władzę wielkiej burżuazji monarchistycznej nad biedotą wiejską i miejską, robotników krępowała zakazem strajków i zrzeszania się, chłopom nie zapewniała pełnego wyzwolenia z więzów prawa feudalnego. Zagadnienie agrarne, podstawowy problem rewolucji, nie zostało wówczas rozwiązane przez rządzącą kapitalistyczną burżuazję, która na uzyskaniu własnych praw zamierzała zakończyć ruch rewolucyjny. Rewolucja więc musiała nieuchronnie rozwijać się dalej i obalić czepiającą się tronu, nawet po ucieczce Ludwika XVI w dniu 21 czerwca 1791 r., wielką burżuazję i samą monarchię. Konstytuanta rozwiązała się w końcu września t. r. ustępując miejsca wybranej na podstawie cenzusowej konstytucji Legislatywie, w której na 700 deputowanych zasiadało zaledwie 3 chłopów i 4 rzemieślników. W Legislatywie uległo rozszerzeniu skrzydło monarchistyczne, ale jednocześnie powiększyła się także liczba demokratycznych deputowanych, członków Klubu Jakobinów. W Klubie tym zaznaczyły się dwa kierunki: średnioburżuazyjny — żyrondystowski i drobnomieszczańsko-rewolucyjny. Żyrondyści byli przedstawicielami interesów burżuazji handlowej i przemysłowej. Przewodzili im: Vergniaud, Gensonné, Guadet — deputowani z Departamentu Girondy (Bordeaux). Byli oni przeciwnikami radykalnych metod działania i zwalczali namiętnie dążenie do równego podziału ziemi i usiłowania stabilizacji cen na artykuły pierwszej potrzeby. Nienawidzili monarchii, ale byli gotowi do paktowania z dworem. W polityce zagranicznej parli do wojny z Austrią, marząc o podbojach i licząc na to, że uda im się wysłać na front rewolucyjnych sankiulotów. Ich dziełem była wojna Francji z feudalną Europą, zaczęta w kwietniu 1792 r. Klęski armii rewolucyjnej na froncie wschodnim i agitacja Robespierre'a przy poparciu jego zwolenników w Komunie Paryża postawiły na porządku wydarzeń rewolucyjnych sprawę detronizacji Ludwika XVI i zwołania Konwencji Narodowej na podstawie powszechnego głosowania. Wspierał Robespierre'a demokratyczno-rewolucyjny drobnomieszczański Klub Kordelierów, w którym rej wodzili Danton, Marat i Kamil Desmoulins. W chwili, gdy wojska pruskie i austriackie wraz z kontrrewolucyjną armią emigrantów maszerowały na Paryż, plebs paryski pod wodzą Polaka Klaudiusza Łazowskiego, zaufanego Robespierre'a, Westermanna i Santerre'a uderzył na Tuileries, siedzibę Ludwika XVI i jego partii, zdobywając pałac. Legislatywa pod naciskiem ludu zawiesiła króla w urzędowaniu i zamknęła go wraz z rodziną w wieży Temple. Skończyła się pierwsza faza rewolucji, fala jej wzmogła się i podniosła wyżej. Obalono wielką burżuazję i króla. Do władzy doszła handlowo-przemysłowa żyrondystowska burżuazja.

Druga faza rewolucji trwa od 10 sierpnia 1792 r. do 2 czerwca 1793 roku. W tym okresie odbyły się wybory do Konwencji przy akompaniamencie rzezi wrześniowych w Paryżu i na prowincji; armia rewolucyjna odniosła zwycięstwo pod Valmy nad Prusakami i przeszła do kontrofensywy. Zaczął się okres powodzenia oręża sankiulockiego pod hasłem: „Wojna pałacom, pokój chatom". 22 września zebrana Konwencja ogłosiła Francję Republiką. Skład Konwencji był burżuazyjny. Prawicę stanowili — żyrondyści, środek czyli tzw. bagno — niezdecydowani, górne ławki zajmowali, czyli tworzyli radykalną lewicę, jakobini spod znaku Robespierre'a dążący do dalszego pogłębienia rewolucji. Żądali oni kary śmierci dla Ludwika XVI, opracowania nowej republikańskiej i demokratycznej konstytucji, walki z obcym najazdem i zniesienia całkowitego feudalnych powinności na wsi. Żyrondyści natomiast chcieli zahamować dalszy rozwój rewolucji w obawie, aby przez to nie ucierpiały interesy handlowo-przemysłowe burżuazji. Dlatego głosili potrzebę powołania silnego rządu, który potrafiłby zagwarantować święte prawo własności burżuazyjnej. Przeciwników tej własności, głosicieli prawa agrarnego i utopijnych komunistów, nazywali żyrondyści anarchistami. Sprawa sądu nad Ludwikiem XVI i problem aprowizacji wojska i ludności wielkich miast stały się przedmiotem zaciętego sporu górali Robespierre'a z żyrondystami. Żyrondyści bronili króla, górale przy pomocy mas sankiulockich wymogli na Konwencji wydanie nań wyroku śmierci. Górale przychylali się (dla złamania przewagi Żyrondy w Konwencji) do żądań skrajnych elementów drobnomieszczańskich i robotniczych, tzw. „Wściekłych" Jakuba Roux, którzy domagali się ustanowienia cen sztywnych, walki ze spekulacją oraz ogłoszenia ziemi własnością narodową. Uważali oni, że rewolucja powinna poprawić radykalnie położenie ekonomiczne szerokich mas; wysuwali też hasło równości faktycznej, co w ówczesnych warunkach rozwojowych kapitalistycznych było niemożliwością. Był to jednakże ruch, który powołał do życia w swej ewolucji — jak twierdził Marks — myśl komunistyczną, natchnął Babeufa i Buonarottiego idea nowego porządku świata. Wynikiem czasowego sojuszu górali z „Wściekłymi" było ustanowienie 4 maja 1793 roku ustawy o „maximum" na zboże i chleb, co było kamieniem obrazy dla żyrondystów, zwolenników liberalizmu ekonomicznego. Dlatego podjęli oni w Konwencji atak na górali i wspierającą ich Komunę Paryską. Tłem dla tej rozgrywki były: zdrada generała Dumouriera, chłopskie powstanie rojalistyczne w Wandei, i dywersja angielska we Francji. W dniach 31 maja — 2 czerwca 1793 r. Robespierre odniósł w Konwencji zwycięstwo nad Żyrondą przy pomocy mas ludowych. 22 żyrondystów obłożono aresztem domowym, kierownicze miejsce w Konwencji zajęli Jakobini — robespierryści, ustanawiając rewolucyjną dyktaturę. Rewolucja weszła na następny szczebel — zaczęła się jej trzecia faza, trwająca do 27 lipca 1794 roku, czyli do 9 thermidora II roku Republiki.

Dyktatura jakobińska opierała się na drobnej rewolucyjnej burżuazji, pozostającej w sojuszu z plebsem. Wypełniła ona trudne zadanie: stłumiła rewoltę żyrondystowską w 60 departamentach, walczyła z rojalistami Wandei, odparła wrogów zewnętrznych, uchwaliła nową czerwcową republikańsko-demokratyczną Konstytucję 1793 r. (która jednakże nie weszła w życie), tępiła przy pomocy terroru kontrrewolucjonistów, rozprawiła się z „Wściekłymi" za tendencje do naruszenia własności rolnej, zlikwidowała ustawą 17 lipca 1793 r. resztę powinności feudalnych na wsi, uchwaliła dekret o powszechnym „maximum", wprowadziła nowy kalendarz rewolucyjny. Dyktatura jakobińska opierała się w swym działaniu na Komitecie Ocalenia Publicznego, któremu przewodzili Robespierre, Saint-Just i Couthon; na Komitecie Bezpieczeństwa Publicznego; na Trybunale Rewolucyjnym, karzącym podejrzanych o kontrrewolucję, oraz na komisarzach Konwencji w wojsku i departamentach. Dyktatura jakobińska działała głównie w interesie drobnej burżuazji, odżegnywując się od równości faktycznej, której domagały się plebejskie masy miast i biedota wiejska. Dlatego przed masami ludowymi powstało pytanie, czy likwidacja ustroju feudalnego nie doprowadzi do zwykłej zamiany jednego rodzaju wyzysku przez drugi — burżuazyjny? Chłopi popierali dyktaturę jakobińską, dostarczając ochotników i rekruta dla walczących z feudalną Europą armii rewolucyjnych. Blok rewolucyjnej burżuazji, plebejskich mas miejskich i chłopstwa, na którym oparta była dyktatura jakobińska, zaczął się rozprzęgać z chwilą, gdy wewnętrzna kontrrewolucja i najazd wrogów zewnętrznych zostały unicestwione.

W łonie obozu Robespierre'a ujawniły się wówczas ostre tarcia. Spadkobiercy programu „Wściekłych" — Hebertyści — wystąpili przeciw Robespierre'owi za to, że ucisk feudalny pozwalał on zastępować burżuazyjnym, i że był wrogiem faktycznej równości. Robespierre wysłał Hebertystów na szafot w marcu 1794 r.; w kwietniu zlikwidował buntującą się przeciw sobie grupę nowej, wyrosłej na rewolucji i dążącej do pokoju, nowo*bogackiej burżuazji z Dantonem na czele.*

Rozkład obozu Robespierre'a wykorzystali jego przeciwnicy w Konwencji, armii, nawet w Klubie Jakobinów — i uknuli spisek mający na celu obalenie dyktatury rewolucyjnej. 27 lipca 1794 r. aresztowano Robespierre'a i towarzyszy.

W obronie stanął Klub Jakobinów i Komuna Paryska, które siłą przeprowadziły uwolnienie Robespierre'a. Lecz wojska Konwencji opanowały Ratusz, aresztując ponownie Robespierre'a i towarzyszy. Nazajutrz ścięto ich bez sądu, jako wyjętych spod prawa. Z tą chwilą skończyła się francuska burżuazyjno-demokratyczna rewolucja. Do władzy doszła kontrrewolucyjna burżuazja, która przygotowała warunki do przewrotu państwowego generała Bonapartego w listopadzie 1799 r.

Wielka Rewolucja Francuska dokonała się w epoce, gdy burżuazja była klasą historycznie postępową, klasą, która szła naprzód. Lenin mówiąc o Wielkiej Rewolucji stwierdził: „Nie bez przyczyny nosi ona nazwę „Wielkiej". Dla burżuazji, klasy, której interesy wyrażała, zrobiła ona tak wiele, że cały XIX wiek, który dał ludzkości cywilizację i kulturę, minął pod znakiem Francuskiej Rewolucji".

Panosząca się u władzy światowa burżuazja w ciągu całego XIX wieku zasłaniała przed masami ludowymi ich wyzysk hasłami Wielkiej Rewolucji Francuskiej: wolnością, równością i braterstwem. Zasłania wciąż jeszcze i dziś na Zachodzie. Dziś, kiedy historia wydzwania z kolei jej ostatnią godzinę.



Robespierre
(Portret Préral'a)

Anna Kamieńska

ROZMOWA O POEZJI



Ze Zjazdu Pisarzy w Rytwianach w 1947 r.

Pamiętnikarstwo i wiersze — były ulubionymi rodzajami twórczości pierwszych wiejskich pisarzy. Mimo wszelkich patronatów, którym z konieczności ulegali, ich głosy wołały o kulturę dla wsi, rzadko ulegając tendencji gloryfikowania **zastanego**, jak to w gruncie rzeczy robili etnografowie. Na stwierdzenie to pozwala fakt, że zjawisko pisarstwa na wsi towarzyszyło i zbiorowej dążności emancypacyjnej wsi — pojawiło się w końcu XIX wieku — i takim losom jednostkowym chłopów, które znaczą się linią w górę i poza kulturowe środowisko rodzinne, w najgorszym razie przez wyobcowanie na margines życia wsi, stanowiące nieprzekroczony etap do kultury pozawiejskiej.

W formie pisarstwo to było osiąganiem schematów literackich warstw wyższych w miarę możliwości twórczych i stopnia ich wrośnięcia dosłownie w lud. Więcej było ono jednak sięganiem do cudzych, pozawiejskich wzorów stylu czucia i przeżywania. Koniński uważa pisarstwo chłopskie za „nienaturalne" w tym sensie, że nie wynikało ono z czytelniczego zapotrzebowania wsi, nie do niej było adresowane, nie przez nią utrzymywane.

Jedna z centralnych rozmów konferencji rytwiańskiej — rozmowa o poezji prowadzona w zespole bardzo niejednolitym i pod względem wieku i pod względem, że tak powiem, literackiej i socjalnej pozycji piszących — pozwoliła stwierdzić historyczność już słusznej, jak się wydaje, tezy Konińskiego. Piszący chłopi, tak jak i pisarze, którzy osiągnęli nowsze narzędzie literackiego języka porozumieli się nie na gruncie technik literackich — dyskusja nie była swarem szkół — lecz na gruncie problematyki kultury wsi.

Uczestnicy rytwiańskiej konferencji — nie będąc w większości zawodowymi literatami —wypowiadali się jako przedstawiciele środowiska wiejskiego, za ich opinią czuło się całą grupę środowiskową, którą jako przodownicy reprezentowali — bez cienia uzurpacji. Posiadając w większym lub mniejszym stopniu możność uogólniania i objektywizacji swoich sądów nie stracili ścisłego, całkowitego kontaktu z opinią kręgów kulturalnych wiejskich. Pisarze przestali być w opinii wsi „pismakami", autorytet kultury, w imię której występowali, udzielił im powagi. Literatura stała się czymś dla wsi naturalnym, w każdym razie pożądanym.

Istnieje zapotrzebowanie na poezję — wbrew pesymistycznym refleksjom schyłkowców — wynikało z dyskusji. W świetle ostatnich dopiero dyskusji na temat kultury i czytelnictwa na prowincji widzimy, jak bardzo słuszne było zorientowanie tej dyskusji o poezji — na kulturę wsi w ogóle. W sprawozdaniu*) ujęliśmy stanowisko dyskutantów w 3 grupy różniące się społecznymi tradycjami. To pokrywało się niemal z postulatami formalnymi. Oczywiście zwolennicy dawnych schematów literackich bronili ich argumentami ze swoich systemów. Tu właśnie czyhała sprawa „niezrozumialstwa" poezji nowej i innych kulturowych oporów percepcji literatury. Przewaga pisarzy reprezentujących samą wieś była tu istotna i rzeczowa.

Postulatem ogólnym dyskusji wobec literatury pięknej stało się oparcie jej na większej wiedzy o rzeczywistości, na pełniejszym uczestnictwie poetów w życiu narodowym.

Uważaliśmy pracę i próby historyczno-literackie i publicystyczne zajmujące po Rytwianach zespół „Wsi" za rozwijanie i wypełnianie ogólnych tendencji i atmosfery dyskusyjnej zjazdu pisarzy „Wsi" .

W zakresie historii próbowaliśmy wyjaśnić rzeczowe, ekonomiczne podłoże pisarstwa ludowego. „Czytać i pisać nauczył więc kapitalizm" — pisano. Określaliśmy funkcję poezji „samorodnych" i typy społecznego awansu wyrażające się poprzez sięganie do zajęć kulturalnych i stylów pozawiejskich w dotychczasowej tradycji.

Natknęliśmy się na sprawę drobnomieszczaństwa kulturalnego stanowiącego dotychczas prawidłową niemal drogę postępu kulturalnego wsi.

Wspominam o tych sprawach, które zna czytelnik „Wsi", jedynie dlatego, aby zarysować nasuwające się dalsze zagadnienia, które świadczą o tym, jak płodna dla zespołu była żyła spraw, na które trafiono w programie rytwiańskiego zjadu.

Dyskusja o poezji przeniosła się na teren praktycznych problemów twórczości, które stały się treścią wewnętrznych kontaktów pisarzy z redakcją. Wynikały z nich nie zawsze najszczęśliwsze próby lekceważąco np. przez Bieńka potraktowanej „publicystyki wierszowanej". Temat—okazało się—współczesne akcesoria stylistyczne — to za mało. Możnaby pisać o elektryfikacji stylem Konopnickiej — co przecież oznaczałoby nie tylko formalne zacofanie, ale w ogóle niezgodność z postawą ideową nowoczesnego człowieka, oznaczałoby — krótko mówiąc — frazes. Anachroniczność Almanachu Oddz. W. zwłaszcza w dziale poezji dość dobitnie potwierdza stanowisko „Wsi" traktowania pisarstwa ludowego w ramach historii kultury wsi, jej społecznych dziejów.

Nowa funkcja poezji w zakresie kultury wyznacza zadania:

1) Ożywienie życia kulturalnego wsi: świetlice, domy ludowe, nowa treść organizacji kulturalnych, młodzieżowych.

2) Akcja czytelnictwa, biblioteki na wsi, pisma.

3) Zwiększenie bazy społecznej rekrutacji pisarzy, które wniesie bogatsze, różnorodniejsze osobiste doświadczenie społeczne piszących.

4) Pełniejsze uczestnictwo pisarzy — poetów w treści polityki współczesnej (w każdym razie jeśli nie w zmienianiu, to towarzyszeniu publicystyce w jej świadomości społecznej).

*) „Idealizowana dyskusja o poezji" — Nr 32 (111) „Wsi".

KSIĄŻKA I DZIECKO

Kiedym pytał jednego z profesorów uniwersytetu, wywodzącego się ze środowiska robotniczego, co pchnęło go na drogę naukową, co mu pozwoliło przebijać się o głodzie i chłodzie przez szkołę średnią mimo ciężkich warunków jego rodziców odpowiedział zwięźle: „Książki, z którymi zetknąłem się w dzieciństwie".

— Nie były to przecież chyba książki szkolne, a innych nie mógłbym spodziewać się w domu pańskich rodziców?

— Ma pan słuszność! Nie były to książki szkolne. Za moich czasów „wypisy" obfitowały we wręcz odmienne wzory do naśladowania niż ten jaki sobie wybrałem. Szkole zawdzięczałem tylko pewną sumę umiejętności. Myśleć o swym losie i o świecie nauczyłem się gdzie indziej. Nie był to ani Kościół, ani też organizacja młodzieżowa będąca odpowiednikiem jakiejś partii. Była to po prostu wypożyczalnia książek dla młodzieży zorganizowana przez postępowy zarząd mego rodzinnego miasta.

Drobnomieszczański mebel — etażerka w domu rodziców mojego profesora — rychło zmienił swe przeznaczenie. Zniknęły z niej szklana „pamiątka z Częstochowy", jakieś muszle i rodzinne fotografie. Ich miejsce zajęły kupowane za ciężko ciułane grosze z „korek" książki Własne książki. Nie brukowe Pinkertony czy Old Surehandy, ale książki przyrodnicze i klasycy literatury.

Ileż dziś jeszcze etażerek w domach robotniczych zawalonych jest pretensjonalnymi ozdobami, a z książek walają się wycinki powieściowe z Expressów lub inne Baxtery? I na nic innego nie ma perspektyw.

Dlatego z natężeniem nasłuchiwałem wszystkiego, co mówiono na Krajowej Naradzie Działaczy Oświatowo-Kulturalnych zorganizowanej w dn. 27 i 28 w Warszawie przez Sp. Wyd. „Czytelnik" oczekując, że tam właśnie zostanie dostrzeżony najwdzięczniejszy czytelnik, że na niego postawi się przede wszystkim w szeroko zakrojonej akcji upowszechnienia kultury.

„Czytelnik" wydaje dla dzieci „Świerszczyka" i „Przyjaciela", dobrze byłoby jednak wiedzieć jak wiele zrobiono, aby pisma te, skoro książki nie mogą — dotarły do najliczniejszych rzesz dzieci wiejskich. Wiem, że będzie to robota na razie deficytowa, że „Czytelnik" nie może zastąpić wszystkich instytucji, które powinny działać w terenie, ale któż bardziej jest do tej akcji powołany? To za ubogie jeszcze dziś. Na jutro chcielibyśmy widzieć plan, plan wydawniczy i sieć instytucji, które by rozprowadziły książki wśród dzieci miast i wsi. Nim książka dotrze do tych, którzy obecnie dzierżą w ręku butelkę z monopolką, powinna dostać się do rąk tych, którzy wódki jeszcze nie zaznali.

Jerzy Andrzejak

ANNA KAMIEŃSKA

W INSTYTUCIE ANATOMICZNYM

Proszę państwa. Mamy do czynienia
z rzadkim wypadkiem zgonu — rzekł profesor.
Cisną się młodzi mężczyźni i kobiety
dość szczęśliwi, aby się uczyć.

Regularność tego wrzodu cieszy.
Jest to anatomiczny wulkan,
geometrią wyższą cięty kanał,
rzadki kwiat gangreny.

Profesorze, odkrywasz geografię ciała,
pozwól, że ja otworzę im jej duszę.
Widzę uśmiech profesora wąski.
Przepadnę na egzaminach.

Matka jej orzekła, że córka ma wrzód w sercu,
wrzodem jest brak miłości Boga.
Cierp, cierp — mówiła łkając patrząc, jak kona —
to On puka do twego serca.

Matko, córka twoja jest grudką plazmy i bólu
i opada już od niej wszystko, co jest kulturą.
Śmierć ta, choć w łóżku, będzie dzięki tobie także za sprawę —
jak grecka i żydowska — za sprawę wolnego rozumu.

Proszę o ciszę — mówi profesor
i otwiera ciało dziewczyny.
Wyjęto wszystkie wnętrzności i błony —
nie było w niej w istocie śladu miłości, nie było embrionu.

INSPEKCJA W DOMU DZIECKA

Daj ucho, dziecko. Tu w blaszce i szkiełku
Puka?
Tak mówił pan i umilkł nieśmiały,
Bo 40 par oczu uważnych ku niemu patrzało.

Tak samo np. w plecy puka lekarz palcami —
Mówił, bo czuł, że tu już uciec nie łatwo —
Lub gość, gdy przychodzi i przyjaciół nie zastaje,
Lub — lecz dzieci odeszły już do swoich zajęć.

Tak został: z okiem naiwnie otwartym
I z ustami, które na fotografii wyrażać będą zdumienie,
Z zegarkiem przy uchu, jakby sprawdzał,
Czy i ten nie zaczął głupstw gadać zamiast czas mierzyć.

Jedne z dzieci rozkładały gry, inne farby.
Była to pora zabawy. A dwie małe
Nachyliły się i coś sobie szeptały.
Uwaga. Dzieci pokażą panu taniec.

Bose stopki wspinają się nim tupną.
Rząd główek zwraca się w lewo, w prawo.
Inspektor pośpiesznie wpisał wynik oględzin.
Przestał nagle uśmiech udawać.

NAUCZYCIELKA

W czasach, kiedy nie było jeszcze domów, miast —
na skrzydłach ważek wielkich jak ptaki,
w ciałach gąbek, w rybim szkielecie
czekał na przyszłość człowiek.

Górnik błyskiem latarki budzi zatopiony niegdyś poranek,
dźwigi podnoszą ciepło, blask dawny w górę.
Elektrotechnik wspiął się wysoko jak pająk,
tam szuka iskry, która w płytce żelaza utknęła w piasku.

Nurek zanurza się w morze, przędzie dziewczyna,
człowiek w kapeluszu chodzi z kluczem botanicznym,
dziecko stawia pierwszy krok, chwyta strzałkę równowagi,
matka kocha, robotnik niesie belkę zza rogu.

To jest głos czułej Historii Cywilizacji dla dzieci,
której spojrzenie znad szkieł zapowiada więcej,
ponieważ dopiero za rok mówić będzie o sile pieniądza,
o wojnie i pokoju, o przesądach i wolności.

I w tej chwili, gdy w ciszy serca
nawet szept wydałby się za głośny dla jej lęku —
tłum dzieci uderza w krzykliwego marsza, śpiewa,
dopominając się o rozsądek i humor.

Henryk Syska

K R U C J A T A *)

Niech rządcy diecezji gorliwie potępiają szkodliwe książki i pisma w swoich diecezjach wydawane i rozpowszechniane i niech je z rąk wiernych usuwają
Papież Leon XIII.

W drugiej połowie w. XIX hasło wyzwolenia klasowego chłopów coraz bardziej przedostaje się na wieś. Stąd też obok prasy wydawanej dla ludu powstawały różne wydawnictwa ludowe, to znaczy takie, które coraz wyraźniej poczęły głosić hasła emancypacyjne, hasła, domagające się pełnego uprawnienia obywatelskiego. Nadchodzi czas, w którym, jak podkreślał przed pół wiekiem socjalista Leo Wasilewski, nie można trzymać chłopa w ciasnej bruździe. Lud polski ma wszelkie dane ku temu, aby się w naród przeobrazić. Polskiej prasie ludowej, występującej w imię tak sformułowanych manifestów, wydał walkę bezlitosną cały obóz zachowawczy. Przodującą rolę w tej niesławnej robocie odegrał rzymski kler katolicki. Pierwszy objaw tej walki, zastosowany na szeroką skalę ujawnił się na terenie Galicji. Doszło w niej do całkowitej współpracy konfesjonałów i ambon z urzędami śledczymi. Agencje pocztowe dostawały rozkazy spisywania abonentów prześladowanych gazet i dostarczania ich do cyrkułów powiatowych. Duchowieństwo wzbraniało się udzielać rozgrzeszenia prenumeratorom, odmawiało chrztów, ślubów i pogrzebów z ceremoniami kościelnymi. W roku 1895 opublikowany został z kazalnic zbiorowy list biskupów galicyjskich, w którym czytamy:

„Zaklinamy was na wnętrzności miłosierdzia Bożego, abyście pisemek tych, które noszą tytuł „Nowe pszczółka", „Nowy wieniec", „Nowy dzwon" i „Naprzód" nie czytali, nie popierali słowem, ani pieniędzmi pod grzechem, i to nie tylko tych, ale i innych, gdyby w przyszłości na ich miejsce ze zmienionym tytułem i w podobnym duchu wychodzić miały. Gdyby zaś nadsyłano uparcie te pisemka, nie przyjmujcie ich, albo oddawajcie je waszym pasterzom."

Niezależnie od tego listu wydano szereg kurend parafialnych określających negatywny stosunek władz kościelnych do osób, wydawnictw książkowych i czasopism obozu lewicowego. W kurendach tych obok obowiązku zwalczania pism ludowych nakładano na kapłanów obowiązki rozpowszechniania tych gazet, które jak tarnowska „Pochodnia" czy „Prawda" miały za zadanie polemizować i zwalczać prasę ruchu ludowego.

W tym samym mniej więcej czasie rozpoczęła się święta inkwizycja zakazanych druków na terenie Królestwa. Ta tendencja wystąpiła szczególnie wyraźnie na terenie Czytelń Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, które już pierwszą publiczną wypożyczalnię, mającą za zadanie „zaopatrywać ubogą ludność Warszawy w książki treści moralno-pouczającej" uruchomiło około 1860 roku. Czytelniom tym patronowały tak wybitne i szanowane nazwiska jak: Józefa Ignacego Kraszewskiego, Leopolda Kronenberga, Adolfa Pawińskiego, Jana Karłowicza, Kazimierza Promyka i innych. Cieszyły się one wśród warszawskiego ludu olbrzymim powodzeniem. Mówią o tym cyfry zanotowane w obrocie katalogowym. Otóż w przeciągu niecałych 18-tu lat (1895—1912) wypożyczono ogółem 8.422.726 tomów. Z tego dorobku kulturalnego skorzystało 2.825.823 czytelników. Dobór dzieł dokonywany swobodnie przez specjalną światłą komisję kwalifikacyjną wykazał bardzo szeroki wachlarz ideologiczny i artystyczny. W miarę posiadanych zasobów pieniężnych kupowano wszystkie wartościowe pozycje, ukazujące się na rynku wydawniczym. Tymczasem w latach 1896—98 zaczęły się tymi czytelniami interesować czynniki „bardziej powołane". Sygnał do tych czynności kontrolnych dała sławna ze swego konserwatywnego nastawienia „Rola", o której słusznie powiedział między innymi Bolesław Prus, że „gromi tylko łotrowstwa żydów, ale chrześcijańskie wady, które nas wobec żydów podkopują, dyskretnie pomija". Otóż w jednym z numerów „Roli" pojawił się alarmujący artykuł, z którego czytelnik dowiaduje się z przerażeniem, że

„wydział czytelni bezpłatnych przy Towarzystwie Dobroczynności, prowadzony jest w duchu antychrześcijańskim, i mniej oświecone sfery społeczności karmione są w czytelniach trucizną bezwyznaniową, co do podniesienia ich moralności przyczynić się nie może."

Ale już przed wystąpieniem „Roli" baczny na wszystko prezes Towarzystwa Dobroczynności książe Michał Radziwiłł wyznaczył do przekontrolowania tych czytelń dwóch wizytatorów w osobach: księdza Matuszewskiego, proboszcza parafii Wszystkich Świętych, oraz emerytowanego profesora Szkoły Głównej Józefa Przyborowskiego, celem uporządkowania wypożyczalni książek w duchu katolickim i narodowym. Po dłuższej wytężonej pracy podali oni „wnioski ogólne" wysuwające pod adresem prezydium Towarzystwa Dobroczynności następujące postulaty:

„1. Usunąć stanowczo wszystkie książki ze wszystkich czytelń, o ile książki takowe są na indeksie. Wszystkie Dumasa ojca i syna, wszystkie Zoli i Heinego i z dzieł Wiktora Hugo „Katedrę Najświętszej Panny", jako książkę bezecną w najściślejszym tego słowa znaczeniu, a także „Nędzników" i „Pracowników morza", jako mocno zabarwione duchem socjalistycznym; prócz tego Hureta „Flawia", Heilberna, Manguina „Człowiek i zwierzę". Książek tych pod żadnym pozorem dawać nikomu nie można, ani trzymać bez pozwolenia arcybiskupa.

2. Dzieła Tyndalla, Pawła Berta, Bellamy'ego, Figuiera, Taine'a, Huxleya, chociaż naukowe i w przekładzie, ale jako wątpliwe pod względem ortodoksji, a czasem i na indeksie niektóre z nich będące, także należy usunąć.

3. Tu też należą roczniki „Prawdy", „Przeglądu tygodniowego", o ile by były w czytelniach, i różne wydawnictwa obu tych redakcji jako mocno poniekąd podejrzane o niereligijność i socjalizm, a także i „Ateneum".

Reakcja triumfowała. Na półkach rozpoczęła się generalna czystka. Obok wymienionych autorów obcych padły ofiarą dzieła i polskich niektórych pisarzy postępowych. Należeli do nich m. in.: Stefan Żeromski, Andrzej Niemojewski, Wacław Sieroszewski, Maria Konopnicka. Ale nie koniec na tym. Ks. Michał Radziwiłł w poczuciu swej głębokiej lojalności wobec władz rosyjskich posunął się tak daleko, że wystosował odpowiedni memoriał do namiestnika Królestwa Polskiego, ks. Imeretyńskiego, informując go o wywrotowej robocie pewnych jednostek na terenie czytelni; że sprowadzają one nie tylko książki amoralne, ale również ścigane przez cenzurę. Na skutek tego donosu odbyła się interwencja policyjna, która skończyła się aresztowaniem całego szeregu osób, znanych z działalności oświatowej wśród proletariatu Warszawy. Nad przebiegiem tych wydarzeń cała prasa klerykalna rzeczywiście mogła triumfować.

„Każdy wierzący, a znający rzecz katolik powtórzy, że Ks. Radziwiłł, „Przegląd katolicki", „Rola" i wszyscy, którzy sprawę szpetnej owej lektury poruszyli, spełnili obowiązek, postąpili odważnie i uczciwie i powinni tak postępować nadal".

Atakom władz duchownych poddana była również tak katolicka i parafialna „Gazeta Świąteczna". Było to w początkowych latach jej działalności. Promyk był bardzo wierzącym wyznawcą kościoła, ale jednocześnie hołdował prawdziwej, nie zaciemnionej fałszem nauce. Stąd też jego broszury popularne i wiadomości podawane w piśmie stanowią naprawdę cenny dorobek pracy, mającej na celu prawdziwe uświadomienie ludu. Natomiast w myśl założeń nauki katolickiej w popularnych wydawnictwach dla wsi należy przy omawianiu każdego zjawiska podkreślać zawsze czynnik woli Boskiej, jako główny warunek, kształtujący rzeczywistość. Nic nie może dziać się bez ingerencji Opatrzności. Prawo natury, to prawo boskie. Inne traktowanie przedmiotu to herezja. Oto co na ten temat pisze biskup łucko-żytomierski, ks. Karol Niedziałkowski w ulubionej przez siebie „Roli" (Nr. 1/908):

„Jak katolicy mogą się zgodzić na taką szkołę, w której by uczył znany geograf warszawski, który mówiąc o wulkanie Krokotoa, albo o dopływach Amazonki, zawsze znajdzie powód do bluźnierstwa Bogu, czernienia kościoła i wpajania niewiary".

Ma tu na myśli ks. biskup znanego uczonego i pisarza Wacława Nałkowskiego, którego książka pt. „Geografia powszechna rozumowa" wydana w 1887 roku w Warszawie również popadła w niełaskę duchowieństwa. Nic w tym dziwnego. Wacław Nałkowski jako młody uczony, już jako publicysta wystąpił zdecydowanie przeciwko mieszaniu do systemów naukowych czynnika mitologicznego.

O jego śmiałych w tym kierunku posunięciach świadczy chociażby fragment artykułu wyjęty z „Głosu" Nr. 6/886. W artykule tym czytamy:

„Z nastaniem wieków średnich, wiedza geograficzna okazuje jedynie symptomaty upadku. Chrześcijańscy autorowie piszący po łacinie nie czerpali swej wiedzy ze źródeł greckich, jako pogańskich; zamiast obserwacji i rozumowania znajdujemy w dziełach owych czasów utwory fantazji i cudu. Przyroda ustąpiła w kąt. Nieświadomość w kwestiach przyrody uważana była nawet za coś jednającego zasługę, za coś, podobającego się Bogu. Trzymano się długo maksymy Tertuliana: „Kto wierzy, nic więcej nie pragnie, niewiadomość jest dobra, ponieważ nie pozwala poznać tego, co jest nieprzyzwoitym". I nie dziw; wszelka nauka ówczesna była w rękach księży, którzy w nauce brzydzą się wszystkim, co ziemskie. Marzono, zamiast badać i dowodzić. Zamiast sił przyrody i rozumu brano do pomocy aniołów, diabłów, lewiatanów".

Antagonizm „Gazety Świątecznej" z władzami duchownymi nie był jednak ani głośny, ani przewlekły. Szybko nastało porozumienie i współpraca, która przetrwała całe dziesiątki lat, aż do września 1939 roku. Inaczej być nie mogło, jeśli się zważy stanowisko gazety, zajęte wobec wzrastających antagonizmów klasowych.

„Gazeta Świąteczna" — czytamy na krótko przed pierwszą wojną światową — jako pismo prawdziwie narodowe troszczy się o wszystkie warstwy społeczeństwa naszego. Dla niej szlachcic, czy włościanin, albo mieszczanin, bogaty, czy ubogi, rolnik, czy rzemieślnik, gospodarz, czy parobek, wszyscy nasi rodacy są obywatelami kraju."

Zresztą przybyło już inne, poważniejsze niebezpieczeństwo, na które trzeba było zwrócić uwagę. Był to rozwijający się z dnia na dzień ruch socjalistyczny po ośrodkach fabrycznych oraz postępowy ruch ludowy, znajdujący coraz większy posłuch na wsi Królestwa Polskiego. Już pierwsze organy Polskiego Związku Ludowego dostały się pod obstrzał pocisków kleru i opinii szlacheckiej. Najdłużej wychodzący „Zagon" dostał się z miejsca pod orle ciosy „Roli" Jana Jeleńskiego:

„Zagon" jest pismem zbrodniczym, bo sieje nienawiść i niezgodę między społeczeństwem naszym, podburza jednych przeciw drugim, zachęca niejako do zbrodni. „Zagon" jest pismem bezbożnym, czyli masońskim. W jednym z numerów wyczytałem, że diabłów nie ma, że nie ma również ani kary, ani nagrody po śmierci".

Tyle oto dowie się czytelnik o piśmie ludowym ze słów ks. Mieczysława Gruchalskiego, proboszcza parafii belskiej pod Grójcem. Ale są to dopiero pierwsze chmurki, za którymi nadciągnie istotna burza z gradobiciem i piorunami. Już w początkach roku 1908 władze diecezjalne poczęły czynić pierwsze próby zapowiadające generalną ofensywę. Poważniejszy głos w tej sprawie zabrał w prasie warszawskiej biskup Ruszkowski. W miesiącach wiosennych złożyli mu wizytę redaktor „Siewby" Jan Kielak i mecenas Gałecki. Informowali oni biskupa o istotnym kierunku gazety, której najbliżsi współpracownicy, jak z rozbrajającą prawdomównością stwierdził Maksymilian Malinowski, „stoją bardzo blisko programu „Zorzy", nie pragną żadnej krzywdy dla innych klas, zwłaszcza klas posiadających". Jak się ta wizyta przedstawiała, trudno obecnie stwierdzić. W każdym bądź razie zaraz po powrocie dał redaktor Kielak bardzo obszerne sprawozdanie nacechowane pewnym entuzjazmem dla łaskawości i zrozumienia ks. biskupa. Lecz sielanka wkrótce prysła. Bo oto na łamach katolickich dzienników warszawskich ukazało się oświadczenie biskupa według poniższego brzmienia:

„Zapomniał pan Kielak, co mu powiedziałem, że ks. Bokalskiemu władza duchowna kazała usunąć się z kółka Staszica, dlatego, że uważa je za szkodliwe. Niemniej zapomniał pan Kielak, co mówiłem, że czytałem kilka numerów „Siewby", gdzie były artykuły Szecha i wycieczki ogólne przeciw duchowieństwu, i z tego powodu uważam to pismo za szkodliwe. Skoro zaś pan Kielak nie zrozumiał mojego wyrażenia wówczas, to obecnie zmuszony jestem powiedzieć kategorycznie, że z powodu artykułów Szecha i innych, które czytałem, działalność „Siewby", jako wymierzoną przeciw duchowieństwu wprost, a pośrednio przeciw kościołowi, za zgubną dla społeczeństwa uznaję".

W tymże samym czasie pojawiła się kurenda biskupa kujawsko-kaliskiego, ks. Stanisława Zdzitowieckiego. Skierowana ona była przeciwko dwom jednocześnie, bratnim organom ludowym: „Zaraniu" i „Siewbie". Oto co nakazuje ks. biskup swoim owieczkom za pośrednictwem podwładnego mu duchowieństwa:

„Ponieważ „Zaranie" i „Siewba" i pokrewne im pisma, szukające rzekomo dobra ludu, a naprawdę zatruwające umysł i serce, nie do jednej przychodzą parafii, polecamy więc wszystkim księżom proboszczom, aby czuwając nad prawdziwym dobrem ludu, religijnym, moralnym i społecznym, śledzili pilnie, co lud czyta, zachęcając go do porzucenia pism szkodliwych, a prenumerowania tylko pożytecznych".

Tymczasem upłynęły równe trzy lata. Dotychczasowa krucjata nie przyniosła oczekiwanego skutku. Świadczy o tym nieustanny postęp „Zarania" w zdobywaniu sobie prenumeratorów. Otóż w roku 1908 było ich na liście stałej 1800. W rok później liczba ta podskoczyła do 2460. W roku zaś 1911 zwalczane namiętnie „Zaranie" dochodziło już do rąk 4630 stałych, płatnych odbiorców pisma. Wobec takiego stanu rzeczy duchowieństwo postanowiło sięgnąć po dostępną sobie broń cięższego kalibru. Oto w kwietniu 1912 roku ukazuje się w prasie katolickiej notatka, odczytywana przedtem z ambon, z której się dowiadujemy, że:

„Władza duchowna archidiecezji warszawskiej zakazuje wszystkim wiernym sprowadzać, czytać i innym do czytania udzielać pisma tygodniowego „Zaranie", gdyż pismo to podług powziętych z góry zamysłów podkopuje wiarę katolicką ludu i powagę kościoła katolickiego. Zakaz ten mający na celu ochronić wiernych od grożącego im niebezpieczeństwa, podaje się do wiadomości i ostrzega, że: ktoby nadal tygodnik „Zaranie" sprowadzał, czytał i innym do czytania udzielał, ten popełni grzech, od którego zwykły spowiednik nie będzie mógł rozgrzeszyć i wskaże właściwą drogę, dokąd po rozgrzeszenie udać się należy".

Ks. biskup Zdzitowiecki sławny już był wówczas z listu pasterskiego, odczytywanego po kościołach w dniu 8 września 1911 roku. W liście tym nie jest wprawdzie wymienione „Zaranie" po imieniu, ale aluzje kierowane pod jego adresem naprowadzały bez trudu słuchających na pożądaną drogę („Odwodząc was od czytania tych przewrotnych pism, szczególnie jednego, (wiecie zapewne, które mamy na myśli), całą gorącością słowa naszego zachęcamy was, abyście pilnie według sił i możności popierali, szerzyli dobre książki, dobre gazety, prawdziwą oświatę"). Mógł sobie zresztą ks. biskup pozwolić na taką dowolność. Resztę bowiem bez żadnych osłonek i z odpowiednimi epitetami zrobili za niego proboszczowie i wikariusze na parafiach, prześcigający się w gorliwości wykonywania zarządzeń jego ekscelencji. W tej religiotwórczej robocie rządca diecezji włocławskiej nie był bynajmniej osamotniony. Znalazł się bowiem jeszcze jeden ortodoksyjny jego naśladowca w postaci biskupa kieleckiego Łosińskiego, cieszącego się wielkimi łaskami u władz carskich.

„Urząd biskupi z rozporządzenia jego dostojności poleca wielebnemu duchowieństwu wyjaśnić parafianom, że ci z pomiędzy nich, którzy by czytali, lub popierali gazetkę „Zaranie" i ruch zaraniarski, pomimo zakazu biskupiego, grzeszą, a gdyby się z tego nie spowiadali wskutek lekceważenia, popełniają spowiedź świętokradzką, ze wszystkimi jej następstwami."

Niższe duchowieństwo na parafiach, jak już wyżej powiedziano, w wykonaniu zarządzeń biskupich ścigało się w gorliwości. Wykorzystywano wszystkie okoliczności dla zahamowania ruchu zaraniarskiego. A były to jeszcze czasy, w których większość społeczeństwa wiejskiego na jednostki pozostające w konflikcie z księdzem patrzyła zgorszonym okiem. Plebania była obok dworu jedynym i wyłącznym autorytetem. Potrafiła też ona ten prymat swój całkowicie wykorzystać dla osiągnięcia zamierzonego celu — ogłupiania wsi. Odmawiano więc kościelnych pogrzebów zmarłym zaraniarzom. Odmawiano ślubów, nie udzielano rozgrzeszenia. Były to rzeczywiście ciosy, pod którymi niektóre jednostki wierzące głęboko w siłę praktyk liturgicznych potrafiły się załamywać. Ogół jednak chłopów-ludowców wykazał w tej walce nadzwyczajną wprost odporność. Dla scharakteryzowania obydwu stron wojujących w terenie przytaczamy głos ks. Mieczysława Gruchalskiego, proboszcza z Belska, a więc niedalekiego sąsiada działacza zaraniarskiego Tomasza Nocznickiego.

„Prawdą jest to, żem w czasie mojej wizyty parafialnej pominął dom jednego gospodarza. Gospodarz ów, gdym mu wskazywał zły kierunek „Zarania" odpowiedział zuchwale: „Nie wierzę księdzu proboszczowi, mam swój rozum i sam wiem co dobre, a co złe". A ja mu na to: „A jeśli tak, to dobrze. Odtąd ja przestaję być dla was proboszczem, a wy dla mnie parafianinem". I z tym rozeszliśmy się. Czy zaś wobec takiej odpowiedzi jego mogłem być z wizytą kolendową w jego domu? Miał dwa tygodnie czasu naprawić swój błąd. Jeśli zaś tego nie uczynił, nie może mieć do mnie pretensji."

W walce przeciwko postępowym ruchom społecznym i ich wydawnictwom bardzo dzielnie sekundowała prasa katolicka lub prasa pozostająca na usługach kleru i obszarnictwa. Rolla się ona w tym czasie od różnych wyjaśnień, sprostowań, odpierania kłamstw, piętnowania herezji itp. Pisali w tej sprawie świeccy pisarze katoliccy, wiele jednak not podobnych pochodziło bezpośrednio z kancelarii parafialnej. Impulsem do wystąpień niższego kleru na łamach prasy było wezwanie ks. biskupa Łosińskiego w kieleckim „Przeglądzie diecezjalnym" (Nr. 15/911):

„Uprasza się wielebne duchowieństwo, aby zaczepione przez „Zaranie" swoją replikę, lub wyjaśnienie, niezwłocznie przesyłało do redakcji „Polaka-Katolika", lub „Posiewu", gdzie chętnie będzie umieszczona. Niechże takie repliki i wyjaśnienia napływają po każdym kłamstwie „Zarania", a może to cokolwiek pohamuje heretyckie zapędy pana Malinowskiego".

Oczywiście, nie tylko „Polak-Katolik" i „Posiew" gotowe były do przyjęcia antyzaraniarskich paszkwilów. Cała prasa endecka i kościelna wrzała niesłychanym oburzeniem. Było ono o tyle usprawiedliwione, że ruch zaraniarski w walce tej nie tylko że nie topniał, ale przeciwnie — krzepł, rozrastał się, w wielu okolicach triumfował. Że tak było istotnie, stwierdza z prawdziwym żalem i oburzeniem jednocześnie „Kronika Rodzinna", redagowana przez ks. Godlewskiego:

„Pan Miłguj-Malinowski korzystając zręcznie z niezbyt udolnego zwalczania jego misternej roboty, wzrósł w ostatnich czasach poważnie w siły, i zaczyna wojować na kilka frontów".

Nie minęła się bynajmniej z prawdą „Kronika Rodzinna". Rzeczywiście prowadziło „Zaranie" wojnę wielofrontową. Wojowało z klerem, obszarnictwem, ciemnotą, analfabetyzmem. Ale też ze wszystkich tych okopów sypała się przeciwko niemu kanonada wyzwisk, zastraszań, represyj karnych, procesów sądowych. Do walki z „Zaraniem" wystąpiła również i „Zorza", wściekła przede wszystkim za to, że występując z jej grona redakcyjnego Malinowski Maksymilian pociągnął za sobą większą część jej dotychczasowych prenumeratorów. W numerze 50/909 pisał redaktor „Zorzy" Mieczysław Brzeziński:

„Otrząśnijcie się z drzemki! Porzućcie kainowskie podszepty, którymi mamią was i osłabiają dzielność waszą niskie dusze. Do pracy wspólnej pod hasłem: „Naród w sobie" się weźcie".

*) Rozdział zamykający monografię polskiej prasy ludowej p.t. „Od Kmiotka do Zarania", która już wkrótce zostanie oddana do druku. (Patrz „U źródeł filantropii", Lit. Dziennik Ludowy Nr. 3/48).

Hasło „Naród w sobie" zrodziło się w okresie narodowego odrodzenia Czech. Brzeziński zastosował je na naszym gruncie jako przeciwstawienie się hasłu Malinowskiego „Sami sobie" rzuconemu w 1907 roku. Prawdziwy huczek wokół „Zarania" powstał jesienią 1911 roku, kiedy to grupa jego wyznawców złożona z 39 osób złożyła opatrzony pełnymi podpisami protest przeciwko wynurzeniom biskupa włocławskiego, zawartym w jego liście pasterskim. Protest ten doskonale ujęty, tak pod względem formy, jak i treści, umieszczony w numerze 40/911 „Zarania" wywołał żywy oddźwięk w całym społeczeństwie. Ze wszystkich stron kraju posypały się listy włościan, deklarujące pełną solidarność z tym protestem. Oświadczenia w tym duchu napływały z Lubelszczyzny, Podlasia, Kujaw, Kieleckiego. W tym liście otwartym czytamy m. in.

„Woda w rzece przeciwko prądowi nie pójdzie, tylko z prądem. Tak też przyszedł czas na nas, ciemny lud polski, że zniecierpliwiony złą opieką, własnym rozumem budzi się ze snu wiekowego. Z hasłem „Sami sobie" pójdzie lud — naród, pójdzie szukając prawdy i miłości braterskiej, jakiej nam dał przykład Chrystus... Ale niestety, dziś nie mamy pomazańców kapłanów swoich takich, jakich zostawił nam Chrystus po swojej śmierci, którą podjął za prawdę... Mamy za to żądnych panowania nad ludem... Niech nas Pan Bóg strzeże od takiego dzierżenia przez kler ludu polskiego, bo znowuż wszyscy musielibyśmy się położyć spać snem martwoty, że jenoby kiedyś Prusak, lub Niemiec wspominał nas, chodząc po naszych grobach... Kończymy i oświadczamy: Niech Wasza Ekscelencja wyda takich sto listów pasterskich, a my będziemy czytali „Zaranie"... Ludowi prawdy potrzeba i dlatego mimo wszystko „Zaranie" czytać będziemy..."

Protest ten ma swoją bardzo głęboką wymowę. Świadczy on najlepiej, że problemat wyzwolenia klasowego spod dotychczasowego opiekuństwa dworów i plebanii dojrzewał coraz wyraźniej. Ale też burza, jaka się wytworzyła wokół tego chłopskiego manifestu, w sferach endecko-katolickich, przeszła wszelkie dotychczasowe granice.

„Niesłychane rzeczy — woła w uniesieniu „Dziennik Powszechny" — chłop polski podbechtany przez radykalnych agitatorów szerzących niewiarę religijno-społeczną w słowie i mowie zwraca się do biskupa. Trzeba przeczytać ten list chłopski, by bezczelność jego pojąć".

Za głosem „Dziennika Powszechnego" posypały się jak z rogu obfitości wcale nie kulturalne i nie licujące z pokorą katolicką wymyślania ze szpalt całej pokrewnej mu prasy. Wszystkie te pisma uderzyły w jeden wspólny akord: okrzyknęły chórem, że list powyższy chłopów do biskupa nie może być ich wyłącznym dziełem. Że jest niespotykaną w historii zuchwałością, godną najwyższego potępienia na ziemi i w niebie. Pokłosie tej dyskusji redakcja „Zarania" skrzętnie notowała. Zupełnie celowo i słusznie unikała natychmiastowej odpowiedzi. Ale z czasem milczenie to po nagromadzeniu się większej ilości materiałów należało przerwać. W numerze 47/911 spotykamy niewielką notę pt. „Dziwolągi". Warto z niej wydobyć kilka zdań charakterystycznych, które mimo swej półwiekowej powagi nie straciły jeszcze na wartości:

„Gazety księże uważają protest ludu na list pasterski Jego Ekscelencji biskupa Zdzitowieckiego za wystąpienie zuchwałe. Czyżeśmy już naprawdę tak nisko upadli, że wskazywanie błędów w pełnieniu urzędu społecznego uważa się za zuchwalstwo? To właśnie zapowiedź lepszej naszej przyszłości, jeżeli lud, jako zdrowy fundament narodu mówi prawdę tym u góry".

A słowa tej prawdy odzywały się coraz częściej. Co ważniejsze odzywały się one od dołów. Wspólna walka, wspólna niedola, wspólne niebezpieczeństwo i wspólna idea cementowały chłopów-ludowców w jedną rodzinę społeczną, nie tylko już broniącą się od pocisków, ale i atakującą. Już w styczniu 1908 roku pojawił się na łamach „Siewby" bezimienny artykuł, przedstawiający duchowieństwu przed oczy całą prawdę, wyjętą z rzeczywistych nastrojów wsi. Czytamy tam:

„Kapłani! Stoicie na wulkanie, który prędzej, aniżeli się spodziewacie wybuchnie, a za następstwa odpowiedzialność cała spadnie na was. Posłuchajcie, co między ludem się dzieje, co lud mówi. Wszystkie postępki wasze lud widzi jak na dłoni, on widzi, że jest u was w największej pogardzie, bo też to, co pisze „Siewba" jest niezbitą prawdą, której nijak nie zaprzeczycie, a która was tak w oczy kole. Lecz bądźcie pewni, że prędzej, czy później, będziecie tego żałowali, ale już może będzie za późno".

W ostrych słowach rozprawiał się z prasą wrogą ruchowi ludowemu i nagonką księży Tomasz Nocznicki, zasłużony pisarz chłopski i działacz grójeckiego powiatu. Ten „krakowiak z Lipia" jak go pogardliwie nazywa Jan Mrówka-Jeleński w „Roli" wykazał zadziwiającą moc w tej nierównej i uciążliwej walce. Wykorzystał wszystkie swoje możliwości dla zjednania przyjaciół i czytelników „Zarania". Świetnym, a bogatym w oryginalne koncepty piórem chłostał na łamach pisma swoich przeciwników.

We wszystkich wypowiedziach prasowych i ustnych obozu zachowawczego uważano oficjalnie, że te próby przeciwstawienia się dotychczasowemu porządkowi społecznemu nie mają poparcia w terenie. Miała to być oderwana według ich opinii robota Malinowskiego, Nocznickiego, Kosmowskiej, Adamowiczów i innych przewrotowców, nie mających najmniejszego kredytu wśród ludu. Wystarczy ich unieszkodliwić, a nastąpi w kraju błogi, niczym niezmącony spokój. Oczywiście, było to nieprawdą i samołudzeniem się.

W numerze 49/911 pisze Andrzej Tarasik z Lubelskiego Podlasia:

„Choćby dziś pan Malinowski przestał naszą gazetę ludową wydawać, to znajdzie się już człowiek między nami, co by nadal takie „Zaranie", może zresztą pod inną nazwą poprowadził, bo tego już rzeczywiście potrzeba i gromada tę potrzebę czuje."

Upłynęło lat kilkadziesiąt. Przyszła druga wojna światowa, po której chłop polski i robotnik, zbrojny już w pełną świadomość swoich interesów, raz jeszcze sięgnął po władzę i zdobył ją. Zdobył ją wbrew woli obszarników i kapitalistów, wbrew woli wrogiego ludowi episkopatu, którego stosunek do ludu pracującego pozostał w dalszym ciągu bez zmiany.

Henryk Syska

Jan Szczepański

WYCHOWANIE DLA SZTUKI

Na podobny temat pisał niedawno w „Kuźnicy" Seweryn Pollak i Wanda Melcer w „Odrodzeniu". Pollak bronił tezy: „nie ma i nie może być odrębnej sztuki dla robotników". W. Melcer (polemizując z Pollakiem) twierdzi, że „przecież cztery piąte w Szekspirze to anachronizmy, sprawy pasjonujące szesnastowiecznego widza, ale dla nas tajemnicze, rzeczy, do których musimy podchodzić ze słownikiem... I tym ma się karmić dyrektorów fabryk i robotników, młodzież Służby Polsce i chłopów?" Zatem nie wszystko dla wszystkich.

Artykuł prof. Szczepańskiego zamieszczamy jako artykuł dyskusyjny.

Redakcja.

ZACZNIJMY od dwóch faktów. Działo się to w jednym z kin łódzkich w r. 1947. Na ekranie krótkometrażowy film muzyczny. Publiczność wysłuchała śpiewu młodej śpiewaczki, względnie spokojnie zniosła koncert skrzypcowy, lecz popis fortepianowy ilustrowany montażem motywów abstrakcyjnych, wywołał najpierw niepokój, potem szmery, pojedyńcze okrzyki, wreszcie gwizdy, śmiechy i wrzawę na całej sali. Była to żywiołowa reakcja publiczności na muzykę poważną. Powiedzmy odrazu — publiczności „nieprzygotowanej" do słuchania poważnej muzyki, nie rozumiejącej i przypadkowo zebranej w kinie dla obejrzenia filmu.

Drugi fakt. Niedawno otwarto muzeum sztuki w Łodzi. Muzeum zaskakujące i imponujące, posiadające bogaty i przemyślany zbiór dzieł sztuki nowoczesnej. Publiczność zwiedzająca to muzeum w dniu otwarcia nie była już przypadkową publicznością kinową, lecz publicznością wyselekcjonowaną, zaproszoną specjalnie ze względu na swoje zainteresowania lub łączność zawodową ze sprawami sztuki. A jednak pewna część tej publiczności reagowała na zbiory sztuki pompresjonistycznej, a więc kubizm, surrealizm itp. zdumieniem, wzruszeniem ramion, uśmiechem lub oburzeniem. Tak jak każdy człowiek nie znający muzyki i nie umiejący jej odczuć, zdobędzie się na wysłuchanie melodii, tak i każdy nie znający się na plastyce, obejrzy z zainteresowaniem obraz przemawiający do niego treścią literacką. Wyjście jednak poza kołysankę melodii jest nie do zniesienia w równym stopniu, jak w plastyce wyjście poza dobrze znany fragment rzeczywistości, powtórzony w jakiś sposób w dziele sztuki. Gdzie widz nie dostrzegł w obrazie przedmiotu czy opowieści literackiej, zaniepokoił się, że może malarz kpi sobie z niego. I odrazu stawia pytanie: co to jest i po co to jest? Po co jest sztuka, której nikt nie rozumie? Sztuka powinna być zrozumiała dla wszystkich. Nie potrzeba nam sztuki, która jest dostępna tylko dla nielicznych fachowców, potrzebna jest sztuka dla mas.

Dwa hasła skupiły wokoło siebie długie dyskusje. Jedno z nich brzmiało „sztuka dla sztuki", drugie natomiast „sztuka dla mas". Jedno i drugie jest nieporozumieniem. Nigdy nie było sztuki dla sztuki, nigdy nie będzie sztuki dla mas. Zawsze była i będzie sztuka dla określonej kategorii odbiorców przygotowanych do odczucia, przeżycia i zrozumienia dzieła sztuki. W tych czasach, kiedy krąg odbiorców sztuki ograniczał się tylko do kręgu fachowców artystów i krytyków — wobec obojętności dla sztuki szerszych warstw społecznych — powstało hasło sztuka dla sztuki. **Lecz podkreślić trzeba, że obojętność wobec sztuki nie została spowodowana niezrozumialstwem sztuki; wręcz odwrotnie, obojętność wobec losu artysty i jego dzieła wywołała niezrozumialstwo w sztuce.** Hasło „sztuka dla sztuki" znajduje szerokie rozpowszechnienie wśród artystów w drugiej połowie XIX wieku, kiedy zwycięska warstwa mieszczańska wysuwa się na czoło społeczeństw. Wtedy również zmienia się radykalnie miejsce zajmowane w społeczeństwie przez artystę. Zmienia się stosunek społeczeństwa do artysty. W społeczeństwie feodalnym, gdzie artysta związany był z dworem królewskim czy magnackim, tworzył on na zamówienie odbiorcy należącego do określonej klasy społecznej, mającego wyrobiony smak estetyczny i który wymagał aby sztuka uświetniała jego pozycję społeczną. Wraz z rozwojem kapitalizmu i wysunięciem się na czoło społeczeństwa mieszczanina skrzętnego i pracowitego, dorabiającego się i znającego się na robieniu pieniędzy a nie na sztuce, znika typ feodalnego mecenasa sztuki, znika również określone zamówienie społeczne na dzieła sztuki. Dalej, wiek XIX przynosi ze sobą spotęgowane rozbicie społeczeństwa, zaostrzenie antagonizmów społecznych, postępujące wydzielanie się różnych odłamów ludności odizolowanych i mających mało punktów styczności. Artysta średniowieczny tworzył dla społeczeństwa jednolitego religijnie i jego dzieła były rozumiane i odczuwane przez całe społeczeństwo. Artysta renesansu czy baroku, tworzył dla „jednorodnej" warstwy społecznej, kierował się jej wymaganiami i smakiem estetycznym. Stąd również jednolitość i zwartość wielkich „stylów" sztuki i ich wewnętrzna spoistość.

Wiek XIX jest wiekiem szybkich przemian. Przesunięcia społeczne idą w ślad za szybko idącymi przemianami gospodarczymi. Tempo życia i pracy zostaje przyśpieszone. Antagonizmy klasowe zaostrzone. Znikają odłamy ludności rozporządzającej dostateczną ilością czasu i środków, by dbać o artystów, gromadzić dzieła sztuki, rozkoszować się nimi, uświetniać nimi swoją klasę. Rozwój wielkich miast i nowa kultura w nich wytworzona dosięga i pracowni artystów. Znikną ustalony typ odbiorcy dzieł sztuki. Nowoczesny kapitalista nie dba o dzieła sztuki tak, jak pan feodalny lub bogaty mieszczanin wzorujący się na magnatach. Nowoczesny bogacz nie ma czasu na sztukę. Artysta musi się zwracać do nowych odbiorców. Musi zwracać na siebie uwagę. Oparcie społeczne znajduje wreszcie tylko w kręgu artystów, niewielkiej grupie znawców i siłą rzeczy tworzy tylko dla nich. Tworząc dla takich odbiorców dostosowuje do nich swoje dzieła, zagłębia się w drobiazgowe analizy, szuka coraz śmielszych rozwiązań zagadnień artystycznych, gdyż fachowe grono odbiorców może za nim nadążyć, a równocześnie taka śmiałość może zwrócić na niego uwagę. I tak na tle obojętności dla sztuki i zamknięcia się artystów w kołach cyganerii powstają: wielość izmów sztuki nowoczesnej i hasło „sztuka dla sztuki". Hasło to jest tylko stwierdzeniem stanu rzeczy, kiedy artysta tworzy nie dla „Sztuki" samej, lecz dla nielicznego koła odbiorców artystów i znawców.

Wiek XX przynosi ze sobą inne tendencje. Awans społeczny nowych warstw budzi w nich dążenie do sztuki. Chce się przywrócić sztuce tę rolę, jaką sprawowała niegdyś w ramach jednej warstwy, z tym jednak, że ma ona teraz służyć wszystkim klasom społecznym. Oczywiście, że dążenia te przybierają na sile w tych społeczeństwach, gdzie zmniejszone zostało rozbicie wewnętrzne i stępione antagonizmy klasowe. Jednolite społeczeństwo staje się znowu podstawowym warunkiem utworzenia wielkiej sztuki dostępnej dla wszystkich, a nie tylko dla nielicznych grupek. Stąd hasło „sztuka dla mas", a równocześnie atak na „sztukę dla sztuki".

Hasło „sztuka dla mas" bywa różnie rozumiane. Dla jednych jest to sztuka walcząca. Walcząca o poprawę bytu tych mas przez przedstawianie ich życia, przez mobilizowanie emocjonalne do walki itp. Niektórzy z tych „rewolucjonistów" uważają, że podły kicz drobnomieszczański można zmienić w sztukę rewolucyjną, jeżeli tylko zamiast myśliwego z rogaczem wymalujemy tam robotnika z młotem zachowując wszystkie elementy malarskie kiczu. Sztuka dla mas w tym ujęciu to „malowane hasła rewolucyjne". Malowane w sposób zrozumiały, naśladowany z tych sposobów malowania, którymi posługiwał się artysta malujący zarobkowo dla tępego drobnomieszczanina.

Niektórzy teoretycy w haśle „sztuka dla mas" widzą inny sens. Uważają oni, że sztuka dla mas powinna spełniać cele moralno-wychowawcze. Sztuka powinna czynić ludzi dobrymi. Powinna uczyć ich subtelności uczuć, odczucia i wyrozumienia dla bliźnich. Powinna być „humanistyczna" tzn. mówić o człowieku i tłumaczyć człowieka i pomagać w zrozumieniu doli człowieczej, uczyć szanować człowieczeństwo, godność i moralność człowieka. Dla nich sztuka to przede wszystkim „malowane kazania". Sztuka w tym ujęciu powinna się wzorować na wielkich okresach rozwoju sztuki religijnej, która była historycznie najdoskonalszą postacią sztuki dla mas. Oczywiście, że i tu poświęca się wartości estetyczne dla wartości moralnych. Nie ma mowy o rewolucyjnej działalności artysty. Twórczość artysty zostaje podporządkowana wymaganiom człowieka pozbawionego wrażliwości artystycznej, artysta musi się dostosować do prymitywnego poziomu odbiorcy, gdyż inaczej sztuka jego będzie „niezrozumiała" a wskutek tego będzie kiepskim kazaniem.

Jeszcze dla innych sztuka dla mas, jest to sztuka zrewolucjonizowana formalnie, ta sztuka która jest rewolucją form artystycznych, która stara się dać nową wizję świata odpowiednio do zmienionych warunków nowej epoki. Sztuka ta winna spełniać cele utylitarne. Ma być sztuką funkcjonalną. Ma nie tylko dostarczać przeżyć estetycznych niejako na marginesie życia w chwilach odpoczynku od pracy, lecz ma wchodzić w życie i pracę człowieka, stwarzać dla nich estetyczne ramy, kształtować mieszkania, meble, przedmioty codziennego użytku, warsztaty pracy. Malarstwo nie polega na malowaniu haseł rewolucyjnych czy kazań umoralniających, ani dzieł przyjemnych czysto estetycznie — lecz jest laboratorium technik stwarzających estetyczne środowisko człowieka. Tylko taka sztuka może podnieść wrażliwość estetyczną ludzi dotychczas dla sztuki obojętnych, dotrze szeroko i będzie działać społecznie.

Nie jest moim zadaniem dyskutowanie jak należy pojmować hasło „sztuka dla mas". Wydaje mi się jedno — że **utożsamianie „sztuki dla mas" z dążeniem do podporządkowania artysty wymaganiom widza nieprzygotowanego estetycznie, jest równoznaczne z pogrzebaniem sztuki. Zrealizowanie hasła „sztuka dla mas" wymaga najpierw wychowania odbiorców.** Nie należy go w każdym razie utożsamiać z próbami zwalczania takich czy innych prób artystycznego eksperymentowania, dlatego że są „niezrozumiałe" dla każdego laika. Byłoby źle, gdyby artysta był „zrozumiały" dla wszystkich, bo znaczyłoby to, że nie ma nic do powiedzenia nowego. Platon dlatego starał się usunąć artystów ze swego państwa, gdyż wiedział doskonale, że rewolucyjność należy do istoty artysty, że szukanie i dążenie naprzód jest powołaniem artysty. Historia sztuki dostarcza wielu przykładów wielkich nowatorów w sztuce, dla których współcześni mieli stosunek szyderczy lub pełen pogardy z powodu ich „niezrozumiałości". Znany jest los Rembrandta, Cézanne'a i tylu innych. **Zadaniem polityki kulturalnej nie jest gnębienie twórców przez podporządkowywanie ich wymaganiom tradycji, lecz obalanie muru niewiedzy i obojętności między twórcą-artystą i społeczeństwem.** Nie można rozumnie wymagać od malarzy, by malowali ciągle tak jak mistrzowie z dawnych lat. Widzieliśmy na przykładzie monachijskiego malarstwa niemieckiego, dokąd prowadzi ogłoszenie całej sztuki pompresjonistycznej jako sztuki zwyrodniałej.

Obojętne jaką funkcję społeczną chcemy sztuce narzucić — pierwszym założeniem umożliwiającym spełnianie tej funkcji — jest wychowanie odbiorców. **Artysta może się bowiem nawet zastosować do wszystkich postawionych mu wymagań — może być „zrozumiały" itp.; jeśli masy nie zainteresują się jego dziełem, będzie ono zawsze sztuką dla sztuki. Sztuka dla mas, to nie jest tylko sprawa malowania „zrozumiałego" — to jest sprawa malowania na zamówienie szerokiego kręgu odbiorców.** A jeśli odbiorca będzie odpowiednio wykształcony to może się okazać, że właśnie Picasso i Strzemiński lepiej spełniają zadanie artystycznego wyrażania nowej epoki niż eklektyczne malowanie śladami dawnych mistrzów. Lecz wychowanie odbiorców, to długa droga. Prowadzi ona tylko przez ścisłe połączenie planu gospodarczego z kulturalnym. Wychowanie dla sztuki to najpierw podniesienie dochodu i stopy życiowej mas pracujących: zreorganizowanie budżetu rodziny robotniczej, zlikwidowanie alkoholizmu. Dalej to praca od podstaw: dobra szkoła podstawowa zapoznająca dziecko z dziełami mistrzów i ucząca patrzeć na dzieło sztuki. Wychowanie dla sztuki to dobre reprodukcje w świetlicach i dobre prelekcje o sztuce dla młodzieży robotniczej i chłopskiej. Przez szkołę, organizacje młodzieżowe, świetlice itp. (zob. artykuł Prof. Szumana O udostępnieniu sztuki — Dziennik Literacki nr. 25) prowadzi droga do wychowania odbiorców przyszłej sztuki dla mas. Inteligentom dajmy spokój. Pozwólmy im nadal wierzyć, że od czasów Rodakowskiego nie zaszło w sztuce nic godnego uwagi.

W następnym numerze „W s i" między innymi artykuły w związku z Rocznicą Zjazdu Pisarzy „Wsi" w Rytwianach i Dziesiątą rocznicą „Młodego Pokolenia Chłopów"

Tadeusz Konwicki

WIELKIE MANEWRY

Cieniutkimi strugami przeciekały na wschód bataliony po nieudanej akcji. Jeszcze z dziesięć kilometrów od szczerniałych przedmieść miasta towarzyszyły nam niemieckie samoloty, ostrzeliwując z broni pokładowej nawet nieliczne ,paroosobowe grupki żołnierzy. Miasta nie zdobyliśmy. Zostało w dolinie — tak jak już widzieliśmy z zalesionych wzgórz — terkocące erkaemami, przykryte grubą warstwą popielatego dymu od strzałów artyleryjskich. Podczas odwrotu, dwa kilometry za miastem, przy szosie został z mojej drużyny „Sygnał". Padł przy mnie i zarył się głową w świeżym kartoflisku. Zdążyłem tylko dostrzec sino - różową jamę u nasady głowy. Po sześciu kilometrach było nas pięciu. Reszta została w rowach, w dojrzewającym życie i w świeżej koniczynie przy łąkach. Wtedy Messerschmitty dały nam spokój. Zawróciły nad miasto i pikowały często nad wyliniałymi zagajnikami, uganiając się za resztkami rozbitych oddziałów.

Pod wieczór natknęliśmy się na jakiś pluton, tak samo zagubiony i zdezorientowany. Mieliśmy skądś rozkaz, że należy się rozbrajać. Rzucaliśmy w krzaki karabiny nie wyjmując nawet zamków i zdjęliśmy mundury. Jakiś wąsaty, żylasty miner wciągnął nas do lasu i wwalił każdemu do nadstawionych garści po olbrzymiej chochli kaszy z prosa.

— No, co kolego? — zapytałem pokazując głową na zachód, gdzie stoczyliśmy bitwę o miasto.

— At — machnął ręką. Na wąsach szkliła mu się złocista świeża żywica z młodych sosenek.

Wieczorem w chłopskich sukiennych kurtkach ruszyliśmy na wschód. Chcieliśmy odszukać swój oddział. Przenocowaliśmy w małym, czystym folwarku. Początkowo właściciele odmówili noclegu — „Homerowi" i „Lemieszowi", którzy pierwsi — gdy my czekaliśmy na drodze — podeszli pod ganeczek dworu i nisko się kłaniali rozngliżowanemu panu w ciemnych okularach. Pan w ciemnych okularach, wysunął zasadnicze zastrzeżenie, że przecież z puszczy wyleźli teraz żydowscy partyzanci, a wygląd „Homera" i „Lemiesza"... Dopiero ja, zrozumiawszy gestykulację petentów i pana w ciemnych okularach, przelazłem przez żerdzie ogrodzenia i zbliżyłem się do ocienionego winem ganeczka. Przekonywująco zaprezentowałem swą stuprocentową aryjską fizjonomię i w słowach tamowanych wzruszeniem powołałem się na naszą tragiczną bitwę o miasto. . . .

Otrzymaliśmy zatem nocleg i polane mlekiem zacierki na kolację. Kiedy układaliśmy się do snu na świeżym, szorstkim sianie (z pobliskiej pasieki niósł się ostry zapach miodu i kory brzozowej), kanonada artyleryjska na zachodzie przybrała na sile. „Lemiesz" poskrobał się wtedy po kudłatej głowie:

— Musi już bolszewiki podeszli pod miasto. Nałożą Szwabów za naszych chłopaków.

— Tak, ale nasza sprawa stracona — pokiwał głową „Sztyr" sennie i smutno.

Następnego dnia gdzieś około południa natknęliśmy się na przypadkowy patrol naszego oddziału. Dowodził nim pucułowaty plutonowy na chudej czarnej szkapie. Okazało się, że cały nasz oddział był w rozsypce, tak samo, poderwany fałszywym alarmem, rozbroił się, ale już powstała nowa koncepcja, odnalazł się komendant i cały sztab. Właśnie teraz patrole poszukują i zbierają rozproszonych żołnierzy.

Znów przedzierzgnęliśmy się w żołnierzy. Wyciągnąłem z wozu plutonowego nowego mauzera. Przelatywał jakiś niemiecki bombowiec, natychmiast więc wypróbowałem nową broń, pyknąwszy gromko z choiny do odlatującego samolotu.

Do wieczora zganialiśmy maruderów. Jeszcze w chłopskiej kurtce, ale już z biało-czerwoną opaską na ramieniu spędzałem ogłupiałych, zdezorientowanych chłopów, którzy byli i mieli być trzonem naszego oddziału.

Wieczorem ruszyliśmy do miejsca postoju komendy i sztabu. Przodem jechał plutonowy. Trzymał bosymi piętami kościste boki szkapy (gdzieś w zawierusze bitewnej stracił buty), obszerne rogi jego polówki uszytej ręką wiejskiej baby, chwiały się przekonywująco na przezroczystym wieczornym niebie. Od czasu do czasu salutował, godnie odpowiadając na wojskowe ukłony licznych maruderów z innych oddziałów, złudzonych jego wyniosłą postawą, którzy włóczyli się bezpańsko po drogach.

Rano przybyliśmy na M.P. Jeszcze przed wsią w małym lasku brzozowym palnęliśmy sobie parę razy z mauzerów w powietrze, ponieważ jak się okazało, większość zagarniętych chłopów nigdy w naszym oddziale nie była, w ogóle w wojsku nie służyła, więc należało ich wprowadzić w wojenne rzemiosło.

Zakwaterowano nas w pierwszej z brzegu chałupie. Jakiś nowy porucznik formował plutony. Dziwiłem się, że tak mało spotykałem tu moich dawnych kolegów z dawnego (choć nie bardzo — przecież cztery dni temu maszerowaliśmy na koncentrację, ażeby uderzyć na miasto i uprzedzić zbliżającą się Czerwoną Armię) Szóstego Batalionu.

W nowym plutonie znalazłem się w towarzystwie „Homera" i „Lemiesza". Do wieczora przyłączono do naszego plutonu jeszcze 5-ciu ludzi przypadkowo schwytanych na drodze. Wśród nich był białoruski strażnik więzienny i jego pupilek, którego, przed wspólną ucieczką, pilnował w jakiejś powiatowej turmie. Pupilek strażnika był wesołym młodziutkim chłopcem, skazanym przez Niemców na 2 lata więzienia za morderstwo. Tak w ośmiu stanowiliśmy pierwszy pluton drugiej, nowo formującej się kompanii.

Wieczorem, kiedy siorbaliśmy zadymioną, gorzką zupę, nadszedł nowy dowódca plutonu. Grzebał się chwilę przy drzwiach i gdy baba dorzuciła trzasek do pieca, w nagłym, ciepłym świetle ujrzeliśmy go w całej okazałości. Poszło mi ciepło po łopatkach. Natychmiast poznałem tę charakterystyczną orlą twarz z sępimi brwiami, którą tak często spotkać można pod dachami kresowych dworków. Nie podnieśliśmy się na powitanie.

— Jestem waszym dowódcą — powiedział wieszając na kołku skórzaną torbę. Rozpiął kołnierz nowego gabardinowego munduru i rozsunął pod szyją biały szaliczek.

Przestaliśmy cmokać wodnistą zupę. Podnieśliśmy się z nad wiadra, ocierając łyżki o łatane portki.

— No, który z was jest tam inteligentniejszy — rozejrzał służbowo. — Ty — pokazał na mnie palcem — chodźno tu.

Zrobiłem trzy przepisowe kroki naprzód i, strzeliwszy niemieckimi saperkami, zameldowałem się.

— Dobrze — pochwalił. — A teraz słuchaj. Przyjdzie tu do nas na kolację szef batalionu. Masz zrobić kotlety a kartofle przyrządzić à la purée. Wiesz jak?

— Tak jest, panie plutonowy — szczęknąłem saperkami.

— Nie panie plutonowy, ale panie plutonowy podchorąży — skarcił. — Weź do pomocy resztę plutonu.

— Mięsa od kilku miesięcy w ogóle we wsi niema, panie plutonowy podchorąży— przedstawiłem nieśmiało.

Podchorąży sięgnął za siebie, zdjął torbę skórzaną i wydobył spore zawiniątko. Rozwinąłem je ostrożnie: było mięso i masło.

Podchorąży wstał, zaskrzypiał nowymi butami oficerskimi:

— Za godzinę wrócę. Kolacja ma być gotowa.

Zakrzątnąłem się żwawo koło mięsa. Obuchem siekiery rozbijałem je pieczołowicie na stole a rozdziawiona baba oganiała ciężkie, senne muchy. Ściemniło się. Przez otwarte drzwi chaty płynął gdzieś z dalekich łąk jęk pastuszej trąby z kory brzozowej. Reszta plutonu gotowała kartofle.

— Ten nam pokaże, — —zasumał się „Lemiesz" — gębę ma jak nasz starosta nieboszczyk. Ukatrupili go Niemcy, bo z kontyngentowego zboża samogonkę pędził.

Równo za godzinę pojawił się podchorąży. Wprowadził ostrożnie do chaty siwego szefa. Za nimi na kaczych nogach wpatulał się jakiś młody piegus.

Podchorąży wskazał na piegusa:

— To wasz nowy kolega.

— Zajmijcie się nim, kochani chłopcy — dodał dobrotliwie szef. Przygładził siwe włosy i z pełnym wyczekiwania uśmiechem zasiadł na ławie. Za nim usiadł podchorąży. Młody piegus przysunąwszy ławę też siadł do stołu przechylając się przypochlebnie do szefa.

Podałem co żywiej kotlety i kartofle à la purée. Poparzonymi od pryskającego tłuszczu palcami porozsuwałem talerze i przycupnąłem skromnie w kącie na wywróconym wiadrze po naszej zupie. Chłopcy pogasili papierosy i drzemali pod piecem. Baba za brudną zasłoną hojdała dziecko w kołysce zawieszonej na brzozowej żerdzi. Pośpiewywała coś po białorusku a za oknami żaby skrzypiały swój wieczorny pacierz.

Za stołem jedli ze smakiem. Szef otarł zatłuszczoną brodę, pokrytą białą szczeciną i zapytał dobrotliwie:

— No, a któż to przygotował te smakołyki?

Podchorąży pokazał mnie palcem:

— To ten.

— A zdolny, inteligentny chłopak — pochwalił szef. Poklepał piegusa po ramieniu i wskazał mnie: — Szkoda tych dwu w tym plutonie. Przydzielę ich jutro do plutonu, gdzie są nasi chłopcy.

„Homer" poderwał się z ziemi, widocznie z zamiarem zreferowania swego wykształcenia i koligacji. Ale „Lemiesz" twardą ręką pociągnął go za niemiecką, żandarmską kurtkę. „Homer" klapnął z powrotem i tylko westchnął cicho uderzywszy się potylicą o pozaciekaną ścianę pieca.

Za stołem powrócono do przerwanej rozmowy.

— To pana mająteczek nie uszkodzony? — dopytywał się szef.

— Kto go tam wie — zamyślał się podchorąży. — Już tam są bolszewicy. Zaraz tam swołocz wiejska rzuci się na rabunek.

— Tak, panie podchorąży, to wielki błąd i nieszczęście, żeśmy nie zajęli miasta i nie utrzymali terenu. Ale cóż z takimi można zrobić — pokazał niewidocznych pod piecem chłopców.—No co, napijemy się—uśmiechnął się figlarnie, dobywając z kieszeni butelkę.

Objąłem służbę przed komendą gdzieś koło godziny dziesiątej. Do godziny dwunastej gimnastykowałem się na ganeczku oddając honory wchodzącym i wychodzącym oficerom i sztabowcom. Do głównych zadań tych ostatnich należało, jak zdołałem dostrzec w ciągu 6-ciomiesięcznej działalności partyzanckiej, jeżdżenie sztabowymi furmankami i spożywanie skromnych acz pożywnych posiłków. Byli to rezydenci wojenni. Wprost z piaszczystych folwarków kresowych przenieśli się do oddziałów partyzanckich i tu wiedli swój prosty, nieskomplikowany żywot.

O północy wyszedł komendant już rozebrany, za swoją potrzebą. Zaprezentowałem broń a potem w przepisowej postawie złożyłem raport. Załatwiając się odwrócił głowę i przez ramię pokiwał aprobująco głową. Następnie popatrzył na seledynowy skrawek nieba na wschodzie, gdzie się gotowała daleka kanonada artyleryjska i zamyślony zastygł w niezbyt godnej pozycji. Na zachodzie płonęła łuna. Tam bronili się w mieście Niemcy przed dywizją sowiecką, która przedarła się klinem na ich tyły. Na wschodzie mruczał front.

Komendant milcząc wrócił do chaty a ja zostałem, żeby czuwać nad jego spokojnym snem.

Gdy po raz drugi zapiał kur, (mogła być chyba godzina trzecia nad ranem) nadszedł jakiś patrol. Zatrzymałem ich przepisowo, schowany za filarem ganku. Była to drużyna z 7 batalionu, tak samo jak i my formującego się po rozproszeniu w akcji na miasto. Mieli wiadomości dla komendanta.

Wszedłem do chaty i wyszukawszy na słomie, wśród innych, nogi komendanta, pociągnąłem ostrożnie za sznurki od kaleson. Ledwie rozbudzonemu zameldowałem przybycie patrolu. Kazał wprowadzić. Z ganku wyłapywałem strzępki rozmowy. Komendant 7 batalionu dopytywał się o to, co nasz oddział ma zamiar dalej robić.

— Nie wiem, nie wiem... Brak prowiantów... Pójdziemy chyba jeszcze trochę na wschód.. Bolszewicy, bolszewicy... — dochodziły mnie niewyraźne fragmenty odpowiedzi komendanta.

Po odejściu patrolu zaczęło rychło świtać. Zza gęstych jęzorów mgły pierwsze oderwały się żurawie. Potem z pomarańczowego lasu wychynęło słońce.

Rano, po skończeniu służby, dowiedziałem się, że podchorąży już awansował i został wcielony do sztabu. Dużą rolę w tym awansie odegrała jego kara klacz, na której pokłusował pożegnać nasz pluton. Takiego konia nie miał nawet komendant.

Przed południem nastąpił odmarsz. Już w kolumnie podziwialiśmy piękny galop podchorążego z przewieszoną schludnie przez pierś pepeszą. Nowiutką. Było jeszcze trochę kłopotu z chłopami, którzy nie chcieli dać koni do sztabowych furmanek. Tłumaczyli się żniwami. Ale załatwiła się z nimi dość szybko nasza żandarmeria. Młodziutki nasz żandarm zajechał starego chłopa tak sprawnie w grdykę, że aż zagrało w piersiach staremu i konie zaraz się znalazły. „Lemiesz" tylko poprawił hełm, splunął w piaszczyste kolejny i pokręcił głową.

Na dłużej zatrzymaliśmy się w Dajnówce. Opatrzyliśmy tu broń, do plutonu zaś przymaszerował czarniawy wąsal, który się okazał nowym dowódcą plutonu. Podchorąży awansował tymczasem (chociaż był w oddziale dopiero pierwszy tydzień) na adiutanta komendanta i podczas zbiórki batalionu galopował na klaczy wzdłuż szeregów; świeży i schludny, łyskając żółtą kolbą pepeszy, nienagannie przecinającej pierś opiętą gabardinowym frenczem.

Na zbiórce po długich i męczących raportach, „na ramię broń", „do nogi broń" i „na prawo patrz" odczytano nam rozkaz dowódcy okręgu. Zawiadamiał on swych wiernych żołnierzy, że nawiązał już kontakt z dowództwem radzieckim i że przed naszymi oddziałami otwiera się nowa, wspaniała perspektywa. Podpisano, baczność itd. Sztabowcy, którzy dotąd hołubili na furmankach zdobyte na ludności tubylczej szynki, wydawali się raczej niezadowoleni. Lecz zaraz jednakże inny duch wstąpił w nasze zdemoralizowane szeregi.

Wróciła dyscyplina. Pogoniono nas na musztrę. Wąsaty plutonowy srożył się niezwykle, chociaż my trzej: „Lemiesz", „Homer" i ja nie byliśmy rekrutami. „Lemiesz" był trzykrotnie ranny. Chwalono go i obiecano, że jeśli będzie starał się, to kto wie może nawet Krzyż Walecznych... Ale „Lemiesz", jak to „Lemiesz", nawet tego wieczoru, po męczących ćwiczeniach wspominał długo swoją wieś pod Nalibokami, opowiadał po raz czterdziesty siódmy historię o dwunastopudowym sumie i martwił się, czy ojciec skosił już otawę. Za stodołą w pokrzywach grały świerszcze, a piegus, teraz „Pantera", posypywał talkiem swoje kościste palce u nóg.

Rano wydawano nam partyzanckie legitymacje. Sam komendant brał udział w tej uroczystości. Przyciskał palce delikwentów do wypisanych na maszynie zaświadczeń. Tusz podsuwał „Autor", warszawiak, który niewiadomo skąd tu się przyplątał. Słynął z męstwa, palił fajkę i chodził tylko z dwoma pistoletami. Innej broni nie używał.

Zachowałem się przy wręczaniu legitymacji dość niezręcznie. Komendant pogładziwszy swą atramentową, powstańczą brodę, złapał jednakże pobłażliwie moją rękę i umaczawszy tuszem palec, własnoręcznie odcisnął go na dokumencie. Legitymacje zadziwiały. Nawet ci którzy byli w oddziale zaledwie parę dni, otrzymali dokumenty stwierdzające, że są żołnierzami już od trzech miesięcy.

Front na wschodzie przybliżał się tymczasem coraz bardziej. Nazajutrz humory zrzedniały i ruszyliśmy w dalszy marsz. Za nami turkotały furmanki z szynkami i sztabowcami.

Było duszno (słońce prażyło z wysuszonego nieba) i coś się psuło. Pod wieczór przecięła nam drogę jakaś łączniczka na rowerze. Zginęła zaraz w zieleni mundurów oficerskich. Ale poszedł niedługo szmer po szeregach, że jest źle. Przed nami pancerna dywizja niemiecka, a za nią front i bolszewicy. Skoszą nas Niemcy, a jeśli nie oni... Bez pozwolenia rozleźliśmy się po okolicznych chatach w poszukiwaniu mleka. Na plutonowego, który usiłował zagonić nas do szeregu, krzyknął ktoś:

— Zamknij się mongole jeden!

W nocy zatrzymaliśmy się w malutkim lasku obok folwarczku. W naszym plutonie brakowało trzech ludzi. Szef batalionu, siwy, przebrany w zgrzebne płótno wyruszył zaczerpnąć języka i już nie wrócił. Komendant z oficerami pod krzakiem jałowca konferował przy mapie. Sztabowcy z szynkami obsiedli jeden wóz. Resztę furmanek odprawiono.

„Lemiesz" w rozpiętym mundurze położył się na trawie i zlizywał nocną rosę z liści małego krzaku kruszyny. W wierzchołki drzew wplatał się czysty księżyc, siejąc po polanie mdłe, zimne światło.

„Pantera", zebrawszy cicho torby, podrzucił pod sosenkę karabin i chyłkiem począł się skradać do świty komendanta.

— Isz, go! — mruknął „Lemiesz".

Pokiwaliśmy głowami. Lecz „Pantera" nadbiegł, wkrótce wymachując torbami. Zadyszany oznajmił płaczliwie:

— Adiutanta nie ma.

— Znaczy — uciekł — skonstatował „Lemiesz".

„Pantera" zwinął się na trawie wzdychając ciężko. Żołnierze pocichu odchodzili w żyta i nie wracali.

— Na żniwa idą — powiedział „Lemiesz" — i nam trzeba by było. — Po północy sprawiono znów jako tako szyki. Komendant smutnym głosem obwieścił, że sytuacja jest ciężka i naszym najbliższym zadaniem będzie ochrona tego oto folwarku (tu wskazał dłonią bielejący w świetle księżyca dworek za polem jęczmienia).

Do świtu leżeliśmy z „Lemieszem" na warcie u skraju lasku. Zbierałem ustami. wprost z krzaka, mokre od rosy maliny. Rozmawialiśmy o naszej przyszłości.

— Wy uczone — mówił „Lemiesz" — zawsze jakoś radę dacie. Ale my chłopi... Zaprowadzili nas i cholera wie, jak teraz do domu wrócić.

Drzewa szumiały cicho, a od obozu płynęła cicha pogwarka zaniepokojonych chłopców.

Z rana stwierdziliśmy, że z naszego plutonu zostało tylko czterech ludzi, w tym „Lemiesz", „Homer" i ja. „Pantera" zniknął. Cały dzień ochranialiśmy folwark ukryci w gąszczu malin. Podobno w tym samym lasku, tylko z drugiej strony, nocowało dwudziestu SS-manów. Chłopcy zgłosili się na ochotnika do akcji, ale komendant kategorycznie zabronił. Bo kto wie, jak to jeszcze będzie.

Leżeliśmy cały dzień na wilgotnej trawie. Łaskotał nozdrza zapach ciepłego żelaza i trupi zaduch naszych kurtek zdartych z zabitych Niemców.

Część sztabowców jeszcze była. Szynki tylko zdezerterowały całkowicie. Ocalała grupka sztabowców pod żytem, miedzą, przemknęła do folwarku, ażeby zarządzić przygotowanie nam obiadu.

Dopiero o zmroku ruszyliśmy do dworku na obiad. Z głodu i pragnienia zaschło mi gardło. Okazało się, że uczynni właściciele folwarku poświęcali nam na obiad cielaka: Co prawda małego i chudego, ale...

Późnym wieczorem, kiedy jeszcze od folwarku obijał się w lesie stukot młotka klepiącego kosę na babce, zarządzono zbiórkę. Staliśmy długo w czworoboku milczących stukilkudziesięciu ludzi, zanim komendant wyszedł przed front oddziału. Cienie oczodołów łączyły się z powstańczą brodą.

— Żołnierze — powiedział — sytuacja jest ciężka. Wiadomość o porozumieniu okazała się fałszem. Tak może jest i lepiej. Nie mogę wam radzić. Kto chce, może iść do domu, kto chce walczyć do ostatka, zostanie z nami. Ci, co zostaną, niech wystąpią.

Zaszumiało w szeregach. Pierwszy wystąpił „Autor". Potem powoli jeszcze kilkunastu ludzi. Ruszyłem się, ale „Lemiesz" położył mi rękę na ramieniu:

— Na co?

Wzruszyłem ramionami.

„Homer" odłożył na pień karabin. Chłopcy zdejmowali torby, wyjmowali amunicję, składali na kupę opróżnione karabiny. Nieugięci uformowali się już w dwuszereg i z komendantem i sztabowcami na czele patrzyli na nas dumni, uzbrojeni. Zrobiło mi się głupio.

„Autor" odłączył się od dwuszeregu i zbliżył się do Homera.

— Daj mi buty i tak idziesz do domu — pokazał na twarde, niemieckie saperki „Homera".

— Nie, nie — wzbraniał się „Homer".

Zaczęli się szarpać. Podszedł do nich „Lemiesz" i klepnąwszy „Autora" po hełmie powiedział złowróżbnie:

— Ty się odwal.

„Autor" sięgnął do kabury.

Spostrzegłem wtedy, że komendant obserwuje zajście spod uschniętej jodły.

— Odejdź! — nastroszył się „Autor".

— Nie należy zabierać butów kolegom — wtrącił komendant — chociaż na pewno by się nam przydały.

Na wschodzie podnosiły się łuny jak gotujące się mleko. Powiało wilgocią z bagien. Rzuciłem karabin na sporą już stertę. Odchodziliśmy we trzech z „Lemieszem" i „Homerem" na skraj lasu do szeleszczącego żyta.

„Lemiesz" miał na plecach swój karabin. Dopiero na miedzy zdjął go z pleców i powiedział:

— Kurwa, ciągle prowadzą na wojnę, a potem każą się rozbrajać. Już trzeci raz rozbrajam się, więcej nie będę.

I ująwszy mauzera za czarną, błyszczącą lufę trzasnął nim o wietrzejący piaskowiec, ukryty w gęstych pokrzywach. Błysnęło gołe, białe drzewo i kolba utonęła w zielsku. „Lemiesz" pomyślał chwilę a potem szeroko zamachnąwszy się odrzucił śmieszną, nagą lufę w gąszcz żyta „Homer" ślinił się rozmazując po pyzatej, już niemłodej twarzy, jakieś tam łzy pomieszane z potem.

W kilka dni później, kiedy już siedziałem w domu nad otwartą książką, zjawił się „Autor". Obserwowałem właśnie dwóch młodziutkich czerwonoarmistów pijących wodę z pompy.

„Autor" przywitał się ze mną z serdecznością nie pozbawioną wszakże pewnej wyższości.

— Zdaje się, że ty wtedy poszedłeś do domu, czy tak? — zapytał niedbale.

— Tak, z pewnością — rzekłem, zamykając „Księgę z San Michele".

„Autor" wyprostował nogi.

— No, a ty skąd się tu wziąłeś? — spytałem.

— Złożyliśmy broń parę dni później. Mówię ci, szkoda, że nie byłeś. Najpierw odbyła się uroczystość, wiesz, wszyscy zostali awansowani. Dostałem awans na plutonowego. Mówię ci, fajnie było. Po mszy polowej złożyliśmy broń z honorami.

Obciągnął swoją nową cywilną kurtkę.

— Co, czytasz? — zapytał kpiąco.

— Tak należałoby wnosić — odpowiedziałem wskazując książkę. — A powiedz mi, mój drogi, dlaczego nawiał podchorąży, który był adiutantem komendanta.

— Wolnego, wolnego — „Autor" podniósł ostrzegawczo rękę — nikt nie wie, czy uciekł. Równy to był chłop. Mają mnie z nim teraz skontaktować. Podobno organizuje siatkę, dostał awans na podporucznika.

— Ach tak — podniosłem brwi — no, a co ty myślisz robić ze sobą?

„Autor" uśmiechnął się:

— Będę się przedzierał do Warszawy, tam teraz powstanie, potrzeba ludzi.

Wkrótce „Autor" pożegnał się, zobowiązując mnie do odwiedzenia go w Warszawie po wojnie. Podał nawet adres, który, niestety, z czasem zapomniałem.

Po odejściu „Autora" wróciłem do swej pacyfistycznej lektury. Wróble za oknem podskakiwały radośnie na drutach telefonicznych.

W parę tygodni później przypadkowo dowiedziałem się, z przykrością, że „Autor" nie doszedł do Warszawy. Jeszcze przed wyruszeniem w drogę był na jakiejś pożegnalnej zabawie, gdzie w stanie nietrzeźwym wdał się w awanturę i został aresztowany.

Tadeusz Konwicki

Tadeusz Orlewicz

PRZED NOWYMI ZBIORAMI

W chwili, kiedy artykuł ten dojdzie rąk czytelnika, w rolnictwie rozpoczną się żniwa i zbiory zbóż oraz zbliży się czas zbiorów okopowych, które ostatecznie dadzą realne podstawy obliczeń. Powszechnie wiadomo, że plon tegoroczny będzie obfitszy i lepszy niż to miało miejsce w roku ubiegłym, w roku złych warunków atmosferycznych, klęski powodziowej i roku walki z tendencyjnymi i szkodliwymi pozostałościami agraryzmu, kultywowanego przez mikołajczykowskich stronników.

Ta dodatnia ocena przewidywanych zbiorów wypływa w tym roku nie tylko z korzystnych warunków atmosferycznych, ale przede wszystkim z prowadzonej obecnie w sposób planowy walki o produkcję rolną. Zagadnienie planowego gospodarowania w rolnictwie w warunkach indywidualnej własności ziemi chłopskiej stanowi istotę przełomu. Wzrastająca z natury rzeczy znacznie szybciej produkcja przemysłowa daje wsi, rolnictwu i hodowli olbrzymie możliwości mechanizacji i elektryfikacji, możliwości powiększenia powierzchni uprawnej i podwyższenia wydajności produkcyjnej.

Szybki wzrost polskiej produkcji przemysłowej, bazujący na systemie gospodarczym państwa demokracji ludowej, nie może być zahamowany, ponieważ w nim tkwi istota naszej suwerenności gospodarczej i warunek wzrostu dobrobytu szerokich mas obywateli. W tej sytuacji zwolnione tempo odbudowy potencjału produkcyjnego rolnictwa może wpłynąć poważnie na powstanie zakłóceń ekonomicznych w skali ogólnokrajowej. Nadmiernie rozrastająca się dysproporcja pomiędzy wysiłkiem produkcyjnym miasta i wsi jest groźna. Dlatego też zostały skierowane wszystkie wysiłki w tym kierunku, aby dysproporcje te zniwelować do normalnego stanu, wynikającego z realnych potrzeb i możliwości. Podjęliśmy przeto wyraźnie i bezkompromisowo hasło walki o podwyższenie produkcji rolnej. Ta bitwa prowadzona jest z powodzeniem i jej wynikom zawdzięczamy przede wszystkim perspektywę pomyślnych zbiorów. Doniosłym akcentem w tych pracach jest pogłębiająca się w całym społeczeństwie świadomość ścisłego sojuszu robotniczo-chłopskiego, pogłębiającego się nie tylko na odcinku politycznym, ale przede wszystkim na odcinku walki o większy i lepszy kawałek chleba dla wszystkich.

W okresie rozpoczynających się żniw nie od rzeczy będzie w krótkim zestawieniu przyjrzeć się aktualnej sytuacji w rolnictwie, a na tym tle sytuacji aprowizacyjnej kraju, oraz problemowi cen, zwłaszcza na odcinku płodów rolno-hodowlanych.

Sięgnąć nam wypada wobec tego pamięcią nieco wstecz w lata przedwojenne i pierwsze lata pookupacyjne. Sprawy te są powszechnie znane, przeto ograniczam się do przypomnienia sytuacji. Przed wojną głód ziemi, nożyce cen, nadmierne obciążenia podatkowe przesądzały o deficytowości i cofaniu się w rozwoju technicznym gospodarki chłopskiej. W ogólnej liczbie około 3.200.000 gospodarstw rolnych mieliśmy 25,5 proc. gospodarstw poniżej 2 ha ziemi, a 38,7 proc. — o powierzchni, nieprzekraczającej 5 ha. Była to grupa stanowiąca łącznie 64,2 proc. ogólnej ilości rolnych warsztatów pracy i z tej grupy nawet z gospodarstw 4—5-hektarowych rekrutował się proletariat wiejski. Majątki powyżej 50 ha stanowiły 0,5 proc. ogólnej ilości gospodarstw, zajmowały jednak 50 proc. wszystkich gruntów w Polsce, a około 28 proc. gruntów ornych całego kraju.

W warunkach gospodarki kapitalistycznej rozpiętość pomiędzy cenami na artykuły rolne i przemysłowe wzrasta, dochodząc do takich dysproporcji, które uniemożliwiały drobnemu rolnikowi utrzymanie na względnym poziomie technicznej strony gospodarki, a wręcz przeciwnie — spychały go do ekstensywnej i prymitywnej uprawy, przekreślając jednocześnie nadzieje na lepsze jutro pod względem ekonomicznym, socjalnym i kulturalno-oświatowym. W/g oficjalnych raportów przedwojennych w latach 1929—1933 ilość sprzedanych pługów spadła u nas o 53.000 sztuk, siewników o 4850 sztuk, młockarń — o 13.000. Spadek popytu na narzędzia i najniezbędniejsze maszyny rolnicze był wręcz katastrofalny i z porównania cyfr wynika, że żaden drobny rolnik nie mógł zdobyć się na odnowienie lub uzupełnienie swego warsztatu rolnego koniecznymi narzędziami, natomiast zakupującym był wyłącznie gospodarz wielkokmiecy i obszarnik.

Polityka podatkowa i zadłużenia hipoteczne, nie mówiąc już o zadłużeniach lichwiarskich, rosły w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do wielkości posiadanej powierzchni. Przeciętne zadłużenie hipoteczne wzrosło w ciągu kilku lat przedwojennych niemal trzykrotnie (dokładnie o 26 proc.), przyczem wzrost ten całym swoim ciężarem kładł się na karłowatego i drobnego rolnika, oszczędzając zgodnie z założeniami kapitalistycznej renty gruntowej — obszarnika. Konkretnie, kiedy w roku 1927 przeciętne zadłużenie hipoteczne wynosiło 155 zł, to w tym samym roku w gospodarkach rolnych najmniejszych— wysokość tego zadłużenia doszła do 478 zł na 1 ha.

Ruina gospodarstw chłopskich dokonywała się na podłożu odziedziczonego po zaborcach stanu zacofania wsi polskiej. Wraz z nią spada zdolność nabywcza rolników, a z tym rośnie niedostatek na wsi, który przyczynia się do spotęgowania bezrobocia w miastach i utrudnia w sposób decydujący rozwój przemysłowy kraju. Na wsi zaostrza się wyzysk pracy najemnej i niemal 25 proc. ludności chłopskiej musi na warunkach nadmiernej eksploatacji człowieka przez człowieka pracować za coraz niższą płacę. Ponadto wieś w konsekwencji pomnaża w swoim zakresie milionową armię bezrobotnych, zwaną przez kapitalizm — zbędnymi na wsi. Liczono ich przecież przed wojną na 6—8 milionów ludzi i ta masa kilku milionów pauperyzowała w dalszej konsekwencji całe drobne rolnictwo, będąc poważnym ciężarem gospodarczym i społecznym.*)

W tym zespole czynników, składających się na obraz ekonomicznej sytuacji wsi polskiej przed wojną, rodzi się fakt, że stan inwentarza martwego w gospodarkach drobnych spada o 50 proc., a znacznie szybciej spada pogłowie zwierzęce (w latach 1928—1935 o 61 proc.). Z tym wiąże się zagadnienie ubytku obornika i brak realnych możliwości zastąpienia tego braku nawozem sztucznym. W konsekwencji spada również wydajność z 1 ha; różnica ta np. dla pszenicy wyniosła 1,2 q w latach 1932—1936 w porównaniu z wydajnością z lat przed pierwszą wojną światową. Zbiory przedwojenne kształtowały się dlatego na stosunkowo niskim poziomie, chociaż i ten poziom wystarczał na potrzeby rynku wewnętrznego, a w dużym procencie artykuły rolne uczestniczyły w puli eksportowej.

Wojna i okupacja przyniosły znane nam wszystkim zniszczenia. Na odcinku wsi 466.900 zagród wiejskich pożoga wojenna i terror okupanta zniosły z powierzchni ziemi lub uszkodziły. Po odzyskaniu niepodległości szacowaliśmy w roku 1945 ziemię leżącą odłogiem na 7,5 milionów ha; oznaczało to, że 25 proc. gruntów użytkowych odpadło z produkcji. Wiele milionów ha systematycznie prowadzoną polityką grabieży zostało pozbawionych właściwej obróbki i nawożenia. Jeżeli okres przedwojenny przyjmiemy za 100, to w roku 1945/46 liczba koni roboczych na 100 ha użytków rolnych wynosiła 68,5, krów — 53, trzody chlewnej — 54,8. W tym samym analogicznie stosunku musiała się zmniejszyć produkcja obornika. Taki stan rzeczy musiał zadecydować o podjęciu walki o produkcję rolną w warunkach uciążliwych i trudnych zwłaszcza, że niosły one na sobie cały ciężar szeregu długich lat zacofania w produkcji i bytowaniu wsi.

W walce o podniesienie poziomu produkcji rolnej należy pamiętać, że prawidłowy rozwój życia gospodarczego kraju wymaga, aby powstały warunki dla harmonijnego rozwoju pomiędzy wszystkimi gałęziami gospodarki narodowej, przede wszystkim zaś nie może mieć miejsca nadmierna dysproporcja pomiędzy rozwojem przemysłu i rolnictwa. Nie mamy potrzeby udowadniać, że nasz przemysł musi się rozwijać szybciej niż rolnictwo, a w łonie przemysłu szybsze tempo trzeba nadawać produkcji dóbr wytwórczych niż produkcji dóbr konsumpcyjnych, bo tego wymaga realizacja tezy o uprzemysłowieniu kraju. Ale dysproporcja nadmierna prowadzi do zakłóceń ekonomicznych. Wpływa ujemnie na bilans handlowy i płatniczy państwa. W przypadku pogłębienia się tej dysproporcji przemysł zostałby pozbawiony właściwej bazy dla swego szybkiego rozwoju: zjawisko to, znane nam w warunkach polskich przed wojną, było symptomem państwa kapitalistycznego.

Drogą podstawowych reform gospodarczo-społecznych dokonanych w Polsce, stworzone zostały warunki harmonijnego rozwoju wszystkich gałęzi życia gospodarczego. Te straty wojenne i te czynniki, o których wyżej mówiliśmy, tkwiące potencjalnie we wsi polskiej, sprawiły jednak, że w roku ubiegłym, drugim roku powojennym, istniała niepokojąca dysproporcja pomiędzy rozwojem przemysłu i rolnictwa, a mianowicie produkcja przemysłowych dóbr konsumpcyjnych na głowę ludności była w roku 1947 o 25 proc. większa niż przed wojną, natomiast produkcja zbóż netto na głowę ludności stanowiła niecałe 80 procent produkcji w stosunku do poziomu przedwojennego. Wprawdzie rok ubiegły był niepomyślny, bo i warunki atmosferyczne i zniszczenia powodziowe uniemożliwiały lepsze zbiory, ale mimo to trzeba stwierdzić, że zbyt wolny rozwój rolnictwa zmuszał państwo do ponoszenia olbrzymich kosztów importu żywności z zagranicy. Była to sprawa znacznie przewyższająca kwotę 100 milionów dolarów. Za te miliony dolarów trzeba było kupować żyto, pszenicę, tłuszcze od krajów obcych, zamiast obrócić je na zakup traktorów, maszyn rolniczych, nawozów sztucznych i innych urządzeń, wzmagających intensywną produkcję rolnictwa i hodowli.

Rok bieżący powinien być rokiem przełomowym tak w dziedzinie aprowizacji kraju, jak i w zakresie pogłębiania zasad reformy rolnej w kierunku mechanizacji rolnictwa, maszynizacji produkcji, elektryfikacji i stosowania prawidłowego nawożenia. Pomoc Państwa była wszechstronna i wydajna. W roku ubiegłym w państwowych gospodarstwach rolnych wprowadzono normalizację pracy, a na jej tle powstał spontaniczny objaw współzawodnictwa. Indywidualne gospodarstwa chłopskie otrzymały różnorodną pomoc w ramach planu gospodarczego, a często i ponad plan. Przez pierwsze trzy lata powojenne chłop otrzymał około 7.800.000 ha ziemi, przez co dochód społeczny wsi ma realne możliwości powiększenia się o dziesiątki miliardów złotych. Wzrasta pogłowie bydła, trzody chlewnej, owiec i koni nie tylko dzięki importowi, ale dzięki racjonalnej hodowli krajowej. W stosunku do roku 1945—46 powiększona została powierzchnia zasiewów o 3.900.000 ha, w czym żyto zajmuje ponad 1,7 milionów, a ziemniaki 734 tysiące ha. Pomoc Państwa w ramach akcji siewnej pozwoliła przyśpieszyć likwidację odłogów, które obecnie liczone są na niewiele ponad 1 milion ha, a więc 7 razy mniej niż w pierwszym roku powojennym.

Według oficjalnych danych Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych stan zasiewów wyniósł w roku bieżącym około 14 milionów ha, a więc conajmniej o 1 milion więcej niż w roku ubiegłym. 469.000 ton nawozów sztucznych poszło na pole. Plon ozimin będzie znacznie większy niż w roku ubiegłym i szacuje się go bardzo pesymistycznie na 11 q z ha dla żyta i 12 q dla pszenicy. W państwowych i samorządowych majątkach rolnych plony zapowiadają się znacznie lepsze i dla pszenicy można tu oczekiwać conajmniej 18 q z 1 ha. Długotrwałe deszcze powaliły całe łany zbóż, opóźniając żniwa. Tylko na nisko położonych gruntach można mówić o większych stratach w zbiorach, natomiast w wielu okręgach trzeba będzie poniechać mechanicznej obróbki, a puścić w ruch kosbę ręczną. Wieś w nadchodzących żniwach dysponuje przeszło dwoma milionami koni roboczych, przy czym rozmieszczenie siły pociągowej jest korzystniejsze niż to miało miejsce przy żniwach w roku 1947. Dla uzupełnienia braków w koniach wielką pomocą służą spółdzielcze ośrodki maszynowe, które rozporządzają 1055 traktorami oraz innymi maszynami i narzędziami rolniczymi. Zorganizowano plan pomocy sąsiedzkiej. Wieś czeka na żniwa przygotowana w sposób planowy na całym terenie kraju. Wyniki zbiorów w państwowych gospodarstwach rolnych i indywidualnych gospodarkach chłopskich powinny przynieść plon conajmniej o 30 procent wyższy niż w roku ubiegłym.

Takie zbiory zboża pozwolą nam na pełne zaspokojenie potrzeb rynku wewnętrznego na tym odcinku. Trzeba pamiętać, że w roku 1946 mieliśmy deficyt zbożowy, wynoszący 964.000 ton, w roku ubiegłym — 650.000 ton. Zwiększona powierzchnia zasiewów, wzrost wydajności z hektara, przyniesie nam w roku bieżącym wyrównanie sytuacji. Dzięki temu umożliwioną będzie stopniowa likwidacja reglamentowanego obrotu artykułami żywnościowymi. Zwiększona podaż zbóż przyniesie rozsądnie proporcjonalną zniżkę cen, a z tym podniesienie wysokości płac realnych. Przemysł wyzyska szerszą bazę dla swego rozwoju i z uwagi na polepszenie sytuacji aprowizacyjnej mas pracujących miast i ze względu na pomnożenie surowca produkcyjnego dla produkcji dóbr konsumpcyjnych. Rolnictwo, powiększając zbiory, powiększy swój zbiorowy i indywidualny udział w dochodzie narodowym, a za każdy kilogram pszenicy lub żyta zebrany więcej z pola otrzymywać będzie więcej i taniej narzędzi, maszyn rolniczych i traktorów, bo im mniej państwo będzie musiało zakupywać zagranicą zboża i tłuszczów, tym więcej pójdzie pomocy pośredniej i bezpośredniej dla rolnictwa i rolników.

W obliczu zbiorów trzeba pamiętać, że na polach naszych jak Polska długa i szeroka rozgrywa się jeden z najważniejszych elementów naszej walki o suwerenność gospodarczą, naszego wysiłku o zrealizowanie planu sytości. W warunkach demokracji ludowej wieś miastu, a miasto wsi oddają wzajemne wyrównania. W roku ubiegłym, w roku przełomu — ku dobrobytowi mas — żniwa mają znaczenie zasadnicze. I tak jak produkcja rolna Polski ruszyła do walnej i długofalowej bitwy o wyższą wydajność, tak żniwa tegoroczne podkreślić powinny we współzawodnictwie pracy, w organizacji pomocy sąsiedzkiej nowe oblicze wsi polskiej, nowoczesnej i świadomej swojej roli w państwie demokracji ludowej, w państwie rozbudowującego się przemysłu i odradzającej się produkcji rolnej.

*) Porówn.: Tadeusz Orlewicz, Odludnienie wsi, Myśl Chłopska nr 3 z roku 1947.

Józef Pogan

rys. Krystyna Hierowska

SYLWETKI PLEBANÓW

pamiętnik

W swym życiu pierwszego księdza poznałem mając już siedem lat. Zobaczyłem go po raz pierwszy, gdy chodził po kolędzie. Był to człowiek wysoki, barczysty, otyły i jak się później przekonałem — energiczny i wybuchowego temperamentu. Parafianie szanowali go bardzo. Przykładem niech będą choćby moi rodzice, (a takimi, jak oni byli prawie wszyscy parafianie). Po ucałowaniu przez rodziców ręki księdza i organisty (tego też całowali) i po udzieleniu kapłańskiego błogosławieństwa dla naszej rodziny, ksiądz usiadł na chwilę i zaczął rozmawiać z ojcem. Tylko część z tej rozmowy zapamiętałem dotychczas.

— Wielką naprawdę będzie miał ojciec duchowny u Boga zasługę, — że w taką ślizgawicę raczy chodzić po kolędzie.

— Moi drodzy, ksiądz nigdy nie zważa na żadne trudy i przeszkody, gdy chodzi o jego parafian. Ksiądz się musi poświęcać dla dobra dusz swych owieczek.

— Ja bym ojca duchownego odwiózł do następnej chałupy, jeśliby ojciec nie pogardził tą usługą.

— Bóg zapłać, dobra, chrześcijańska duszo, ale na kilkanaście kroków nie opłaci się konia zaprzęgać.

— To sobą ojca duchownego zaciągnę.

— Bóg zapłać, Bóg zapłać, zajdę sam.

Nie skorzystał ksiądz z usługi ojca, skorzystał natomiast z ofiary „w naturze". Wszyscy z domu wyglądaliśmy oknem na ojca, jak dźwigał na drogę „kopiatą" ćwierć owsa dla księdza. Organiście matka dała dwadzieścia kopiejek.



Nie ten dar dla księdza jest zastanawiający — zastanawiające jest to, że przed świętami ojciec z matką pokłócili się, matka bowiem chciała zemleć w żarnach trochę żyta i upiec chleba na święta, a ojciec nie pozwolił. Mieliśmy więc na święta jeden „klepaczek" z „blachy", który zjedliśmy już w wigilię Świąt przegryzając opłatkiem. Nic dziwnego — i tak mimo tej oszczędności był latem ciężki przednówek.

Gdy miałem lat osiem, chodziłem boso na naukę katechizmu. Oprócz innych nauk, ksiądz często mówił dzieciom, jakie „diabeł ma rogi, zakręcony ogon i jak na grzeszne dzieci ostrzy w piekle żelazne, rozpalone widły". No i o tym też, że „aniołki nic nie jedzą, nawet ciastek i cukierków".

W czasie wojny austriacko-rosyjskiej, miałem już buty, chodziłem zimą do prywatnej szkoły, a także do kościoła. Ksiądz wygłaszał z ambony „piorunujące kazania", że kobiety nieraz płakały.

Dla nawracania parafian ksiądz używał też często mocnej swej pięści Raz dwudziestoletni chłopak przyklęknął pod chórem na jedno kolano. Ksiądz wszedł właśnie do kościoła, rozejrzał się wokoło, pośpieszył pod chór i w tył głowy palnął pięścią chłopaka, że ten padł twarzą na posadzkę.

Innym znów razem ksiądz pobił chłopa na cmentarzu. Było to w czasie pogrzebu nauczycielki z ochronki, której ciało ksiądz kazał pochować w murowanym grobie, gdzie spoczywały zwłoki byłego proboszcza. Sprzeciwił się temu jeden tylko gospodarz T. G. Ksiądz ani słowa nie wyrzekł, tylko trzasnął chłopa w głowę, iż ten runął na mogiłę.

❁

Po wojnie przybył do parafii inny ksiądz. Ten już nie bił nikogo, tylko słowami karcił. Pracowity i rzutki ten ksiądz zaprowadził w kościele i w parafii wiele nowości. Między innymi postarał się o nową lampę do kościoła, o lichtarze, chorągwie, obrazy itp., w ogrodzie nasadził wiele drzew, oprowadził go wraz z plebanią nowym parkiem, i wiele innych ulepszeń. Wiadomo — wszystko ze składek parafian. Oprócz tego założył Kółko Rolnicze i sklep, Stowarzyszenie Młodzieży, a nawet biblioteczkę parafialną. Zaskarbił sobie przeto miano „wielkiego opiekuna parafii".

Śmiertelnym wrogiem owego proboszcza był miejscowy nauczyciel, socjalista, na którego nawet z ambony padały słowa potępienia. Nauczyciel najwięcej „napsuł księdzu nerwów" w czasie akcji przedwyborczej. Jeden drugiego starał się przekonać, toteż w parafii była ogromna wrzawa. Ksiądz sam rozdawał ludziom kartki wyborcze, zaś organista roznosił je dom w dom po całej parafii i pod groźbą śmiertelnego grzechu, nakazywał je oddawać w czasie głosowania. Koniec końcem — ksiądz wziął górę w głosowaniu.

❁

Trzecim z kolei proboszczem parafii był staruszek, mgr. teologii. Tego niewiele obchodził wygląd plebanii, kościoła, nie zajmował się sprawami społecznymi i politycznymi. Skupiał on tylko swe siły nad krzewieniem jak największej pobożności wśród parafian. Toteż za jego proboszczowania dewociarstwo rozwinęło się mocno: starsze ko-



biety bezustannie klęczały w kościele, spowiadały się codziennie, odprawiały nowenny itp. Ksiądz starał się pomagać im w życiu: piętnował tych co z nich drwili, czy im jakąś krzywdę wyrządzali, karcił ostrymi słowy, w czasie kolędowania upominał się o pomoc dla nich, zaś pochwalał, a nawet wynagradzał tych, co dewociarkom oddali jakąś przysługę. Mnie na przykład zapłacił dwa złote za napisanie podania do sądu starej dewociarce, przeciwko jej niepobożnemu synowi. Przynęcał też ksiądz do siebie herbatką inteligentniejszą młodzież, a na przykład, jeden dwuklasista szkoły gimnazjalnej, który nie miał za co dalej się kształcić — bywał niemal codziennym gościem proboszcza.

❁

Czwarty proboszcz (w innej już parafii, gdzie zamieszkałem), pochodził z wysokiej, magnackiej rodziny. Między innymi zwalczał on bardzo młodzież za piękniejsze ubieranie się, dziewczęta za „cieliste pończochy, za półbutki, modne sukienki" itp. Rodzicom nakazywał bić dzieci, tłumacząc, że „rózga, czy kij, nawet dobrym dzieciom nie zaszkodzi". Odprawiał też rekolekcje w oddalonych od kościoła wioskach, kończąc spowiedzią wiernych i uroczystą mszą. Tenże ksiądz zainicjował budowę kaplicy w naszej wiosce, złożył na to początkowy fundusz oraz postarał się o odpowiedni plac pod budowę kaplicy.



Parafianie pokochali go bardzo, wyrażając się, że to „głęboko myślący ksiądz i rozmyślnie z tak wysokiej sfery przyszedł na wiejską parafię, jako pokutnik". Po jego odejściu kobiety płakały, a niektóra często wzdychała, „żeby choć jeszcze raz w życiu mogła tego księdza zobaczyć".

❁

Po owym „głęboko myślącym księdzu" przybył do parafii „płytko myślący" i „surowy", na którego wszyscy parafianie sarkali. Hardo obchodził się z parafianami, nie próbował nikogo sobie skaptować, żył sam dla siebie. Nie interesował się też bynajmniej ową budową kaplicy. Zły był na parafian, wyrażając się, że „tylko misje mogą ich naprawić, jak np. afrykańskich Murzynów". Z jego też podszeptów pojawił się w „Dzwonie Niedzielnym" paszkwilowy po prostu artykuł o parafii. Odpowiedział na to w socjalistycznym „Naprzodzie" jeden z półinteligentów wiejskich, z czego parafianie byli ogromnie zadowoleni, mocnymi bowiem argumentami podważył w całości „dzwonkowy" paszkwil.

Zapowiedziane przez proboszcza misje stały się faktem. Wkrótce bowiem trzej misjonarze przez cały tydzień wygłaszali nauki. Byłem tylko w czasie zakończenia tej uroczystości. Misjonarz ogromnego wzrostu, z brodą po pas, stał na podwyższeniu przed kościołem i „kazał" do ludu. Krzyczał głośno, rzucał gromy potępienia na tych, co nie byli na misjach, przeklinał ich z ciałem i duszą, od stóp do głów; obecnym zaś błogosławił i prosił Boga o miłosierdzie dla nich. Błogosławił też i polom, łąkom i lasom i wszystkiemu, co „czuje i co żyje".

Proboszcz stał obok i co chwila oczy wycierał chusteczką.

Zadrżał tłum i dziwnym, głębokim, choć cichym wybuchł szlochem. Wtedy misjonarz jeszcze bardziej podniósł ton, że nawet proboszczowi pociekły łzy po policzkach.



Zdziwił mnie ten płacz ludzki, szepnąłem obok wąsatemu chłopu:

— Czegóż płaczecie, gdy misjonarz takie wam szczęście zapowiada?

Chłopina spojrzał na mnie boleśnie, jak gdybym go ukłuł szpilką i dalej płacze.

Pod koniec uroczystości postawiono przed kościołem pamiątkowy krzyż. Misjonarz polecił go całować wszystkim. A kto prędzej pocałuje — tym więcej dostąpi odpustu i błogosławieństwa Bożego w życiu i po śmierci.

Zafalował tłum i runął pod krzyż, niby wezbrana rzeka w tamę. Tylko głuche jęki i stękania wydobywały się z przyprasowanych piersi..., zęby całujących dzwoniły po krzyżu..., skaleczone wargi i nosy skrapiały krwią ziemię....

W chwili rozpoczęcia całowania krzyża stałem właśnie pod murem. I już zatrzeszczały mi kości... zbiłem się w jedną masę z tłumem... zapomniałem, co się ze mną dzieje.... Dopiero otwartą furtką wyprysnąłem, jak wypchnięty powietrzem i upadłem o kilka kroków na drogę. — Chciały mnie błogosławione owce zagnieść, — syknąłem dźwigając się z twardej ziemi z potłuczonym kolanem.

Przeszyły mnie błyskotliwe źrenice, obrzuciły mnie urągliwe słowa. Lecz jakiś młodzieniec ujął się za mną:

— Prawdę gadają, przecie powinni wszyscy po kolei podchodzić do krzyża i całować. Wszyscy by byli pocałowali, a tak to ani połowa nie pocałowała.

— Ale w ten sposób nie byłoby takiego efektu — byłoby normalnie, a przecież o coś nadzwyczajnego tu chodzi — zauważył stojący obok z dziewczyną młody człowiek.

Przyjrzałem mu się i poznałem: był to właśnie autor owego artykułu w „Naprzodzie" przeciwko „dzwonkowemu" paszkwilowi.

❁

Szósty z kolei proboszcz pochodził z mieszczańskiej, burżuazyjnej sfery. Wysokiego wzrostu, niebywałej tuszy, o małych i bystrych oczach, zaciśniętych wargach — wyglądał odrażająco, znamionując ukrytą w sobie zarozumiałość. Takim też był istotnie. Z parafianami postępował po „dyktatorsku", — każde jego słowo było „święte". Modlitwa ludzi i uczęszczanie do kościoła były według niego „powinnością każdego katolika", a składanie ofiar na kościół „psim obowiązkiem". Tak się sam z ambony wyrażał, bo „ksiądz przecie nie szewc, nie będzie robił butów, tylko z parafian musi mieć utrzymanie". Czasem w uniesieniu „gwizdał" sobie na ludzkie pieniądze, bo jemu i tak Pan Bóg da tyle, ile do życia potrzeba. Udawał wielce świątobliwą osobę i siebie zawsze stawiał wszystkim za wzór. Polecał wiernym odprawianie t.zw. „dziewięciu piątków", nowenn, skupiał młodzież w Sodalicji, a starszych w Akcji Katolickiej. Z ambony często mówił o sobie, o swoim dzieciństwie, lub o swych przyjaciołach, jak np. o pewnym inżynierze, którego wychwalał za pobożność. Czasem też pochwalił jakiegoś bogacza, lub sługę kościelnego. W czasie spotkania się z kimś, pierwszym jego zapytaniem było: — „Dawno byliście u spowiedzi? odprawiliście dziewięć piątków?, bo inaczej — ja z wami nie będę rozmawiał". — Gdy jeden człowiek wyciągnął do niego na powitanie dłoń — ofuknął go za tę śmiałość mówiąc: — „Ja nie jestem demokratą".

Mimo takiego postępowania, ów ksiądz zjednał sobie pewien szacunek i poważanie wśród parafian starszej generacji, a zwłaszcza u kobiet. Te wyrażały się o nim, iż to „dobry pasterz, strzegący dusze swych owieczek przed zarazą komunizmu". I słusznie, wszak w tym czasie poglądy młodszych chłopów ścierały się już mocno z poglądami klerykałów. Ci donosili księdzu o wszelkich „wybrykach zepsutych ludzi". Toteż ksiądz próbował swą butą stłumić „wysłanników piekła".

W czasie okupacji niemieckiej „psuł mocno nerwy" księdzu pewien mgr. filozofii, zamieszkały we wsi. Skupiał on wokół siebie sporo młodszych mężczyzn, i pouczał ich o historii działalności kleru. Na rzuconą za to na siebie „klątwę" księdza, — odpowiedział mu listownie. Był to jednak nie zwykły list, a raczej jakaś rozprawa podważająca wszelkie zasady nieomylności kościoła. (List ten czytał też inteligentniejszym osobom). Lecz



ksiądz nie odpowiedział na to, powiedział tylko do kościelnego i paru innych: — „Już szatan ujął tego człowieka, lecz ja będę się modlił do Matki Boskiej za niego, a Ona wyrwie go z tych szponów. Jeszcze nadejdzie chwila, iż ten człowiek u moich stóp będzie żebrał przebaczenia".

❁

Uwielbianym po prostu przez wieśniaków był ksiądz zakonny, uciekinier z Górnego Śląska. Jako syn małorolnego wieśniaka, był plebejuszem, — jak się sam nazywał. Odwiedzał gospodarzy, rozmawiał z nimi o wojnie, pocieszał wątpiących, umacniał na duchu... Nie był też chciwy, i za drobną ofiarę mszę odprawiał. Na utrzymanie zarabiał, dostarczając znajomym w mieście żywność, przywożąc od nich wszelką odzież. Do reszty pomagały mu gosposie, podając osełkę masła, parę jajek, kołacz itp.

Ale mimo tej „ludowości" księdza, mimo nienawiści do Niemców, pragnął on i wyczekiwał upadku Rosji. Szczęście Polaków przewidywał tylko przy pomocy Anglii i Ameryki. Potwierdzały to jego słowa, że „im dłużej wojna trwa, tym lepiej dla nas". Takie jego stanowisko polityczne uwypukliło się jeszcze wyraźniej po zakończeniu wojny. Otóż, jednej niedzieli, po skończonym nabożeństwie, potępiwszy najpierw organizujące się wokoło ZWM, — ogłosił zbiórkę pieniężną na „potajemny cel". Jaki to był ten „potajemny cel", — nie trudno było się domyśleć, że chodzi o NSZ czy WiN.

*

Scharakteryzowane powyżej sylwetki znanych mi dobrze plebanów dają nam w całości wcale nie różowy obraz działalności kleru. Różne sobie duchowo jednostki i działające w różnym czasie, a jednak summa summarum — wszystkie mniej więcej „jednakową skórą podszyte", — jak mówi przysłowie. Pod skórą tą lęgną się nie tylko same pasożytnicze ustroje — lęgną się też ustroje toczące mózgi pracujących mas. Publicysta Adolf Nowaczyński w czasie swej młodości, gdy się jeszcze nie zendeczył, powiedział prawdę:

„... I wszystkie wonie Arabii
nie wywietrzą smrodu z wrzodu,
jakim każdego narodu
jest ksiądz, derwisz, szaman, rabbi".

ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ
ogłasza konkurs literacki na:
„HYMN ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ"

Hymn winien wiązać się tematycznie z ideologią Związku Samopomocy Chłopskiej.

Prace na konkurs należy nadsyłać w terminie **do dnia 15 sierpnia br. na adres:**
Związek Samopomocy Chłopskiej, Zarząd Główny, Warszawa,
Pl. Starynkiewicza 7/9
z dopiskiem: „Konkurs na Hymn".

Prace podpisane godłem należy przesłać w kopercie, wewnątrz której winna znajdować się druga zaklejona koperta opatrzona tym samym godłem, zawierająca kartkę z nazwiskiem i imieniem oraz adresem autora.

1. Warunki konkursu:
   I nagroda — 100.000— zł.
   II nagroda — 50.000— zł.
   III nagroda — 30.000— zł.
2. Nagrodzone utwory stają się własnością Związku Samopomocy Chłopskiej.
3. Jury Konkursu składać się będzie z przedstawicieli: Ministerstwa Kultury i Sztuki, Związku Zawodowego Literatów P., Związku Zawodowego Kompozytorów, Związku Samopomocy Chłopskiej.
4. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone **15 września 1948 r.**

Piotr Pigwa

MEMENTO *)

Problem współpracy chłopsko-robotniczej jest jednym z podstawowych problemów w tworzeniu demokracji ludowej. Znakomitym przedstawieniem jego historycznego przebiegu jest artykuł Jerzego Tepichta „Postęp i wstecznictwo w ideologicznej walce o wieś" drukowany w ostatnim numerze (9) „Nowych Dróg". W związku z tym przypominam sobie, że kilka miesięcy temu otrzymaliśmy list od pewnego działacza ludowego, wzywającego zespół „Wsi" do wypracowania w miejsce skompromitowanej, agrarystycznej ideologii chłopskiej, jakiejś nowej. Autor listu pisał, że robotnicy mają swojego Marksa, inne klasy społeczne dopracowały się również swoich odrębnych ideologii, jedynie tylko chłopi są jeszcze bez niej.

W świadomości niemałej części działaczy i twórców ruchu ludowego utrwaliło się przekonanie, że marksizm - leninizm jest ideologią ściśle klasową, należącą wyłącznie do robotników, nie mającą nic wspólnego z ruchem chłopskim.

Nie miejsce tu na analizę przyczyn tego zjawiska. Czytelnik znajdzie ją bez trudu w całym szeregu artykułów zamieszczonych we „Wsi" na przestrzeni lat 1945 — 48, czy w „Drogowskazach" — J. A. Króla. Rozgrywka z agraryzmem została już zakończona.

Pragnę jeszcze tylko zwrócić uwagę na może nieco mniej znane fakty.

Studiująca ekonomię na naszych wyższych uczelniach młodzież jeszcze i dziś dowiaduje się, że rolnictwo jest zupełnie autonomiczne w stosunku do przemysłu, że działają tam zupełnie inne prawidłowości życia gospodarczego. N.p. koncentracja kapitału jest zjawiskiem ekonomicznym występującym jedynie w przemyśle, nigdy zaś w rolnictwie. Nierzadko można słyszeć pośród słuchaczy uniwersytetów, podających się za ludowców, lub nawet marksistów, że pojęcie walki klas odnosi się nie tylko do stosunków między robotnikami a kapitalistami, ale obejmuje ono także konflikt chłopów z klasą robotniczą.

W ten sposób, przy pozornie marksistowskim założeniu (niby przyjmuje się walkę klas) otrzymuje młodzież właśnie burżuazyjne widzenie świata, w którym wszyscy walczą (konkurują) ze wszystkimi — przysłowiowe: homo homini lupus. Tak to usiłowała burżuazyjna nauka rozbroić z siły społecznego oddziaływania marksowską walkę klas. Tak też dopingowano prawicowych chłopskich wodzów do stworzenia jeszcze jednej, klasowej ideologii. No, a wodzowie byli zazwyczaj już zachwyceni skądinąd naukami prof. Laura, czeskim czy duńskim agraryzmem...

Skutki są na terenie naszych ruchów politycznych ogólnie znane. Przez długi czas, właściwie do powojennych czasów nie można było zawiązać sojuszu robotniczo - chłopskiego. A nauce o walce klas w interpretacji nauki burżuazyjnej ulega jeszcze i dziś nasza młodzież.

Jak przedstawia się prawda, o której zapomniano, lub jej nie doceniano?

Już w roku 1848 pisał Marks, że klasa robotnicza nie może iść do walki z kapitalizmem sama, bez chłopów, bo gdyby tak było, to „jej śpiew solowy łacno przekształcić się może w marsz pogrzebowy". W „Wojnie domowej we Francji" Marks pisze: „...tylko Komuna mogła a jednocześnie musiała **rozstrzygnąć na korzyść chłopów** — długi hipoteczne, które jak zmora ciążyły na chłopskiej parceli, kwestię proletariatu wiejskiego, który z dnia na dzień wzrastał liczebnie, oraz sprawę wywłaszczania chłopów z ich parcel, które się dokonywało coraz szybciej pod wpływem nowoczesnego rozwoju gospodarki rolnej i konkurencji rolnictwa kapitalistycznego"...

Możnaby w nieskończoność mnożyć odpowiednie cytaty z Marksa i Lenina, pokazujące konieczność ścisłego sojuszu chłopów z robotnikami. O tym jakoś się nie pamiętało w ruchu ludowym. Nie pamiętało się często nawet takich faktów jak: hasła walki o reformę rolną bez odszkodowania, rzuconego przez KPP w roku 1922, jak odezwy KC KPP wzywającej cały świat pracy do poparcia wielkiego strajku chłopskiego w roku 1937.

Wiadomo, że głosom nielegalnej lewicy socjalistycznej, wołającej z podziemia „wolnej" Rzeczypospolitej odpowiadał jedynie półlegalny radykalny ruch ludowy. Tylko skrajna lewica znajdowała wspólny język z lewicą socjalistyczną.

Dziś jest to już język całego narodu, ale nie łatwo do tego przyszło. Postępowy ruch ludowy dopiero po wojnie uzyskał warunki na odrobienie złej przeszłości. Cykl artykułów J. A. Króla — „Mit parceli" i „Kapitalizm na wsi", czy J. Drewnowskiego „Sojusz chłopsko-robotniczy w oczach ludowca", zamieszczone we „Wsi", stanowią część wkładu ruchu ludowego w rozbudowę porozumienia z robotnikami.

Jerzy Tepicht w artykule swoim wykazuje, jak dalece reprezentatywne i dla chłopskich interesów są hasła naczelne marksizmu—leninizmu. Równocześnie podejmuje analizę krytyczną błędów, jakie popełnił ruch ludowy w stosunku do robotniczego i odwrotnie. Błędów, które — jak można sądzić z ostatniej deklaracji SL-u i PSL-u, a również i z artykułu J. Tepichta mówiącego o stanowisku PPR do chłopów — więcej się nie powtórzą. Tym niemniej warto je dobrze zapamiętać.

*) Z okazji artykułu Jerzego Tepichta pt. „Postęp i wstecznictwo w ideologicznej walce o wieś" — „Nowe Drogi", nr. 9.

Maciej Koliba

PRAKTYKA LICEALNA

Byłem w tym roku na maturach w gimnazjum dla dorosłych. W szkole tego typu warunki oczywista są specyficzne. Uczniowie w trzech czwartych utrzymują się sami — można wśród nich spotkać urzędników, rzemieślników, robotników fabrycznych, natknąłem się również na kolejarza — kierownika ruchu, który po nocnej zmianie przychodzi na lekcje, znalazł się wśród nich i lotnik. Dla tych wszystkich ludzi gimnazjum — matura stwarzają szanse dalszego awansu.

W rozmowach z kandydatami uderzyło mnie jedno: mają dość duże kłopoty z instytucjami, które ich zatrudniają. Jeden na przykład pracownik łódzkiej księgarni przychodził przez cały rok dopiero na drugą lekcję, jeden z maturzystów, żeby móc zdawać, postarał się na czas egzaminów o zwolnienie na podstawie świadectwa lekarskiego. Instrukcje odgórne są przecież jasne. Młodzieży pracującej ma się w każdym wypadku ułatwiać dalsze kształcenie. Kierownik biura, rygorysta, może dobrze nawet pilnujący interesów własnej placówki traci często z oczu dalszy, ważniejszy interes państwa, które chwilowo tracąc na robotnika godzinę lub dwie, w przyszłości zdobywa sobie w nim wyżej kwalifikowaną siłę. Charakterystyczne, że abiturienci zapytywani o swoje plany na przyszłość, wypowiadali się za politechniką, medycyną, studiami rolniczymi. Szkoły widać nie traktowali jako miejsca „bogacenia osobowości", lecz jako etap dalszego praktycznego kształcenia, wyznaczającego określone funkcje w społeczeństwie: inżyniera, lekarza, agronoma społecznego, kierownika spółdzielni. Nie otrzymałem prawie żadnej odpowiedzi, wyrażającej zainteresowanie dla studiów humanistycznych. Nie wiem czy to jest dobrze, wiem natomiast, że młodzież ta idzie po linii zapotrzebowania, jakie moment obecny stawia przed naszym społeczeństwem. Chociażby ze względu na to nie należy tej młodzieży stawiać przeszkód w miejscach zatrudnienia.

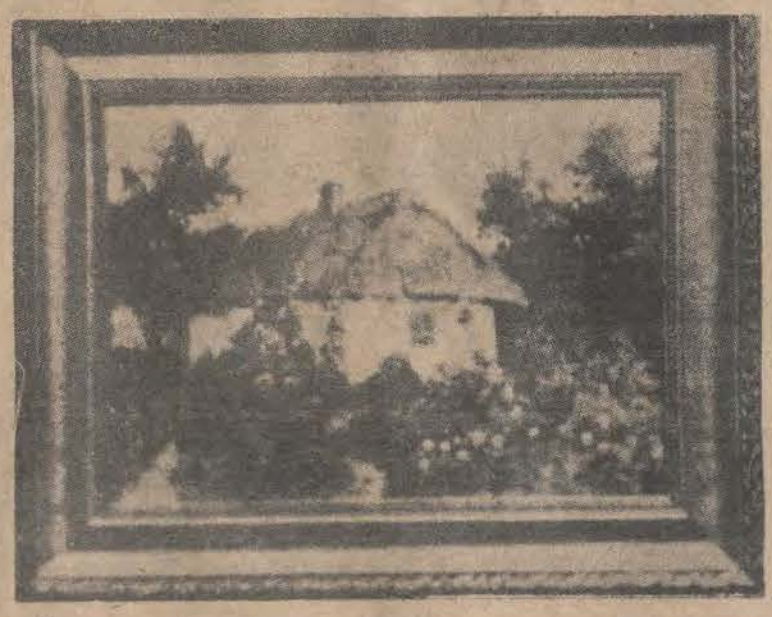
Chciałbym poruszyć tu jeszcze jedną sprawę. Powojenna konieczność wprowadzenia przejściowego zresztą typu gimnazjów i liceów przyśpieszonych dała nam maturzystów o wąskiej znajomości naszej przeszłości politycznej, gospodarczej i kulturalnej. Oczywiście, istnieją na to motywy usprawiedliwiające. Niemniej faktem pozostaje, że absolwent o maturze przyśpieszonej bardzo mało wie o naszym dorobku literackim. Bez tych podstaw trudno mu wejść na pozycję konsumenta nowoczesnej literatury. Na podstawie doświadczeń z wielu szkół średnich mogę stwierdzić, że uczniowie nie znają prawie wcale współczesnej literatury. Gdy wymieniałem kilkanaście nazwisk naszych powieściopisarzy czy poetów spotykałem się na ogół z niewiedzącym milczeniem. Rzadkie potwierdzające kiwnięcie głową otrzymywałem przy nazwisku Nałkowskiej czy Broniewskiego. Co gorsza — absolwenci nie znają prawie zupełnie pism literackich. Nie mówię już o jakimś stałym kontaktowaniu się z pismami, ale po prostu o wiedzeniu, że takie istnieją. Nic nie potrafili mi powiedzieć nawet o „Odrodzeniu" czy „Kuźnicy". Gdy nie mamy jeszcze opracowań dla szkoły, podręczników, które by dawały właściwe spojrzenie na naszą przeszłość — to bez tego nie ma rozumienia współczesności — uczeń musi korzystać, pod kierunkiem nauczyciela, z pism. Cóż można rozsądnego powiedzieć o pozytywiźmie, gdy nie będzie się znało artykułów Kotta o „Lalce" Prusa; czy będzie się miało właściwe rozumienie Orzeszkowej, Reymonta, gdy nie sięgnie się po artykuły drukowane we „Wsi". To są narzędzia, bez których polonista a nawet nauczyciel od „zagadnień współczesnych" niewiele może wiedzieć. Chcę tu przy okazji powiedzieć o roli polonisty w szkole średniej.

Ma on dawać wiedzę, a prócz tego wprowadzać w kulturę. On to na terenie szkoły przede wszystkim powinien być organizatorem kulturalnym. Jest zagadnieniem bardzo ważnym by stworzyć mu do tego warunki: dać mu czas i podstawę materialną. Polonista musi mieć narzędzia — bibliotekę i świetlicę, wyposażoną w komplet czasopism. Ktoś na łamach naszego pisma rzucił pod adresem nauczycielstwa zarzut — że nauczyciele zwłaszcza po większych ośrodkach pracują równocześnie w kilku szkołach. Zmuszają ich do tego niedostatki materialne! Tak! Ale to przecież ich chyba nie kompromituje, bo dzisiejsze współzawodnictwo daje właśnie poprzez wydajność w pracy szansę na lepsze warunki życiowe. Nauczyciele pracują dużo i muszą pracować dlatego, że jest ich mało, muszą się dwoić i troić. To nie daje na ogół dobrych rezultatów, jakkolwiek jest czasową koniecznością. W tej sytuacji przynajmniej dla polonistów byłoby wskazane postarać się o jak najszybszą zmianę tych warunków. Powiedzmy, pracuje on w gimnazjum przedpołudniowym i popołudniowym, cały dzień jest zajęty, gdzież ma czas na konieczną, uzupełniającą lekturę, gdzież ma czas na czasopisma społeczno-literackie, bez znajomości których nie ma mowy o właściwym, zgodnym z czasem interpretowaniu dawnych dzieł literackich, gdzież ma wreszcie czas na sumienne korygowanie prac klasowych czy zeszytów domowych. Jego kontakty z gromadą szkolną są bardzo powierzchowne. Jak wybrnąć z tego? Polonista powinien być nauczycielem jednej szkoły. Praca w świetlicy, praca w kołach (miłośników współczesnej literatury, miłośników teatru) powinna mu zapewnić dodatkową sumę, dającą łącznie z pensją nauczycielską znośne warunki bytu. Sumę tę można by nawet wyegzekwować od koła rodzicielskiego. Napewno będzie to inwestycja bardzo opłacalna. Polonista stanie się wychowawcą literackim i kulturalnym. Zwiąże uczniów przez szkołę z współczesnością. Narzędzia są. Trzeba mu zlecić, by zaczął się nimi posługiwać.

Maciej Koliba

Marian Narcyz Listowski

Landszafty ze ścian!



1.

To nie te tandetnie wdzięczne obrazki sprzedawane w salonach i na targu: dwór i sady malowane akwarelą, bocian na strzesze, „piastowski" chłopek za pługiem ciągnionym przez woły, wiejska chata, łyskająca bielą ścian, słoneczniki takie złote, w zbożu i ostach krzywe stodoły.

Księżyc nad łąkami wygląda od kopca, czeka dziewczę, czeka na chłopca. Las się jej użalił, słowik jej zanucił, już twój miły nie wróci, nie wróci.

Czyja to wieś?

2.

Do miasteczka przyjechał zespół górali. Cóż wam kobziarz ostatni — powie? Wymarzony to okaz do zdjęcia fotograficznego na tle malowanych gór. Tyle szczęścia!

Autentyczny góralu — nie chodź z panią razem do fotografa. Będziesz pamiątką — obrazem, a to ludowa, ach, jaka ludowa reklama. Obraz w ramki i zawiesić nieco w lewo, tu, tu — koło tiranki. Prawda, pięknie w ramach.

3.

Nie te jeszcze wypaczone, gwarowe słowa, nowelki o ciemnym i nieszczęśliwym ludzie. Ani łza otarta muślinową chusteczką nad utraconym jednym talentem, brudną świniareczką. Ani wołania: kultury dla „ciemnych mas".

A te masy traktowane z pobłażaniem, ironicznie, a kultura dawana jak jałmużna.

I ciągle jeszcze ta „ciemna masa" — zdrowa, harda, nieufna i wróg dobrego dziedzica, który świetnie grał rolę dziejowego posłannika. A wieś to — do bryczki koń, mleczna krowa, nośne kury, gęsi i zły pies w budzie, a dalej takie rodne żyzne pola i lasy. Cacy, cacy świecidełka dla oświeconych klas.

Zapusty — to obertasy, to taniec pijany, to polki, to krakowiak, kujawiak, mazur. Maj — wschodzi księżyc, u figury śpiewana litania. Sentymentalno-śpiewna ludomania, a przednówek bez chleba całkiem zapomniany.

4.

A tam ludowa nauczycielka w chacie oczy traci przy naftowej lampce, płuca niszczy. Na wieczorowych kursach Polskę tłumaczy — ona. I dotąd nikt jej zasług chyba nie policzył. Mówiła o parcelacji dworów — dziedzic w inspektoracie, że komunistka. Krótko — zwolniona.

A kiedy chłopski syn uczył się w mieście przyjęły go słabowite panie — wszak klasa zdrowa. Zapomniał o młodszym bracie, wstydził się matki. A w mieszkaniu; reprodukcje Chełmońskiego, chatki malowane w rozkwitłym sadzie. Tylko mi wierzcie, taki zwyczaj urzędnika wychował.

5.

Wrony w sutannach za oraczem ino kraczą, kraczą równie wrzaskliwie jak i wiele. Kazanie było głośne — że sytość już świta. Weselny barwny korowód stał w kościele i słuchał. Wśród płaczów udzielono sakramentu. W zamęcie zapomniano, że ślub to cztery morgi i jedna krowa w wianie.

I ta chata rozśpiewana, hałaśliwa, tańcząca i ci ludzie wpółpijani po kątach i to całe chłopskie wesele — hej, weselisko.

6.

Brat — pan z miasta wrócił i trąca kieliszkiem w szklanki. Mówi o lotach polskich pilotów na Berlin. Potem... Że żołnierze nasi walczą na obcych, dalekich frontach o Polskę i że niedługo będzie już wszystko... tak jak należy.

A jeszcze później, że owszem — należy się chłopu dworska ziemia i, że ją chłop odbierze, kiedy... panu włosy wyrosną na dłoni.

I potem nagle chłopcy zdobyli karabiny, w lesie leśne stały oddziały — wysadzano mosty, zatrzymywano transporty, tajemnie słuchano radia. Obudził się w chłopie zapał, czyn prosty nabierał cech wielkości. Przywiązanie do ojcowizny, jakby nie tłumaczyć, równać się zaczęło przywiązaniu do całej narodowej ziemi.

7.

A kiedy wolność wystrzeliła jak raca po latach, kiedy nową szkołę stawiano na wsi i u szosy nowe stawiano transformatory, kiedy Polska staje się ludowa — chłopski syn dziś przeczy ci, panie radco. Nie mów, że kradzież, że podłość, ordynarność i ciemnota to ona. Po co jeszcze te fałszywe, niesłuszne pojęcia: tu chłopi i robotnicy, tam zaś inteligencja. Że jeszcze nie chcecie być równi, że wy to „rasa", a chłop i robotnik wciąż ta „ciemna masa".

Przestań, Panie Radco, kochać nas tylko na landszaftach. Za dużo nas jest dziś żywych i DECYDUJĄCYCH, aby nie czas było zdjąć wzroku z landszaftów.

„Nowe Drogi"

Po drugiej wojnie światowej obóz imperialistyczny i związana z nim prawica socjalistyczna głoszą zasady zniesienia niepodległości narodowej krajów europejskich. Politycy burżuazyjni, którzy jeszcze przed ostatnią wojną na swym sztandarze ideologicznym wypisali hasło nacjonalizmu (różniącego się bardzo od demokratycznej koncepcji patriotyzmu) i oskarżali komunistów o zdradę interesów narodowych, z tych tylko względów, że bronili zasady międzynarodowego współdziałania i solidarności klasy robotniczej — dziś jawnie i otwarcie zaprzeczają swym przedwojennym poglądom. Nasuwa się natychmiast pytanie — z jakich to przyczyn tak przesunęła się igła barometru politycznego mieszczaństwa i prawicy socjalistycznej.

Zagadnienie to omawia — między innymi — ostatni numer „Nowych Dróg". W szczególności artykuły Romana Werfla „Marksizm - leninizm, drogowskaz naszej walki i pracy" — i Zygmunta Garbienia — „Ewolucja socjal-demokratyzmu".

Rezygnacja z obrony niepodległości narodowej przez mieszczaństwo i prawicę socjalistyczną jest wynikiem układu stosunków społeczno-politycznych w Europie — a w pierwszym rzędzie osłabienia władzy kapitału i wzrostu potęgi ZSRR i krajów demokracji ludowej — tego wielkiego obozu obrony sprawy narodów i wolności społecznej.

Logiczny z tego wniosek, że współpraca klas uciemiężonych z obozem imperialistycznym prowadzi w konsekwencji na drogę zaprzeczenia wielkich ideałów wolności i sprawiedliwości społecznej i rezygnacji z suwerenności narodowej.

Werfel analizując problem roli klasy robotniczej w walce o wyzwolenie społeczne i narodowe pisze: „Leninowska polityka sojuszu proletariatu z walką narodowo-wyzwoleńczą — to nie tylko poparcie przez proletariat walki narodów ujarzmionych. To zarazem hegemonia, przodownictwo proletariatu w tym sojuszu. Klasa robotnicza popierając walkę wyzwoleńczą narodów ujarzmionych kieruje zarazem tą walką, wnosi do niej swoją świadomość polityczną, wprowadza ją na szerokie tory ogólnej walki o postęp i sprawiedliwość społeczną, nie pozwala elementom wstecznym sprowadzić tej walki na manowce ciasnego burżuazyjnego nacjonalizmu, obrony wszystkiego co „swoje", nawet jeśli to „swoje" jest wstecznictwem reprezentującym interesy „swoich" rodzimych wyzyskiwaczy" (str. 51).

Problem hegemonii klasy robotniczej w walce narodowo - wyzwoleńczej i społecznej odgrywa w dzisiejszej sytuacji pierwszorzędną rolę. Klasa robotnicza nie z przyczyny swych przyrodzonych skłonności, ale z racji swego położenia społeczno - ekonomicznego jest najbardziej z wszystkich innych klas uciemiężonych predystynowana do przewodzenia w walce przeciwko ucisku kapitalistycznemu. Istotnym w tym zagadnieniu jest stanowisko Lenina dowodzącego, że proletariat w swej walce winien sobie zyskać jak największą ilość sojuszników pośród klas uciemiężonych — (w warstwie chłopskiej, drobnomieszczaństwie, inteligencji), a może ich zyskać, gdyż w procesie koncentracji kapitału i degeneracji imperializmu coraz większe grupy społeczne odczuwają jego brutalny ucisk — winien ich przepoić nienawiścią do ciemiężców, wskazać im cel zasadniczy cel walki i w konsekwencji poprowadzić do walki o wolność społeczną i narodową.

Uleganie ruchów wyzwoleńczych i demokratyczno - społecznych wpływom ideologii burżuazyjnej sprowadzało je — jak wykazują dotychczasowe doświadczenia — na manowce i na drogę negacji własnych celów wyzwoleńczych. Czyż nie to zaprzeczenie hegemonii klasy robotniczej i myśli marksistowskiej sprowadziło prawicę socjalistyczną na drogę zdrady nie tylko sprawy robotniczej, ale niepodległości narodowej? — jak to słusznie stwierdza Zygmunt Garbień. Przedstawiony tu problem został w obydwu artykułach szeroko rozwinięty. Nam chodziło tylko o zwrócenie uwagi na tę sprawę — która jest dziś bardziej aktualna — niż kiedykolwiek dawniej — tak w mieście jak i na wsi.

Masy chłopskie łudzone zbyt często przez swych wstecznych przywódców — staczały się w konsekwencji na pozycje kardynalnie przeciwne potrzebom wsi i ludności chłopskiej — szły nie do wyzwolenia społecznego — lecz w kapitalistyczną niewolę. Nie bez przyczyny ostatnie oświadczenia władz naczelnych S.L. zwracały uwagę na konieczność sojuszu — robotniczo-chłopskiego i rolę przywódczą klasy robotniczej w walce o wyzwolenie społeczne i niepodległość.

Ci, którzy chcieliby odseparować te dwa zagadnienia — dla których walka o niepodległość nie tylko nie zbiega się, ale wręcz przeczy walce klasowej — wprowadzają zamęt w ideologię mas uciskanych i rzucają masy ludowe w objęcia imperializmu i reakcji.

Zagadnienia poruszone przez ostatni, dziewiąty numer „Nowych Dróg" winny być szeroko przedyskutowane przez działaczy ludowych i ludność wiejską.

K. S.

Do Rzymu przez Krym

Znowu problem postawy nauczycielstwa. Problem drażliwy i zapalny. Bo z jednej strony stawia się zarzuty (nieraz ostre), a z drugiej pracę nauczycielstwa ocenia się jako „nadludzką". Jedni pytają z przekąsem gdzie wasz Pstrowski, drudzy natomiast twierdzą, że jeszcze Pstrowskiego na świecie nie było, a wśród pedagogów co drugi ścigał się na polu wychowania. Miarki i wagi w mierzeniu tego wyścigu naturalnie nie było, ale bo przecież dusze dziecięce, to nie ściana węgla, więc i normy ocen w pracy są mniej namacalne. Nauczycielstwo jednak jest aktywne, posiada inicjatywę i pełne jest poświęcenia. Stanowczo. Na „potwierdzenie" podaję wyniki konferencji rejonowej nauczycieli w Ciechlinie:

Po referacie (Przebudowa gospodarcza wsi w Polsce demokratycznej) — dyskusja m. in.: „Podano smutne przykłady atawistycznych skłonności, objawiających się kradzieżą i piciem alkoholu, zaznaczając, **że tu nauczyciel nic nie pomoże.** Tu potrzebna ingerencja państwa — umieszczenie takich **moralnie obciążonych, a nieraz intelektualnie wartościowych dzieci w — domach poprawy.**

Podając wiele przykładów z zakresu zachowania się młodzieży i jej postępowania niemoralnego zaznaczono, że syzyfowy trud nauczyciela, gdy nie zniknie rozbieżność między wychowaniem szkoły a wychowaniem domu. Zastanawiając się nad rozwiązaniem tego zagadnienia, stwierdzono, że do celu daleka droga — droga poprzez umoralnienie i uświadamianie szerokich mas, poprzez budowę od dołu.

W wyniku obrad i dyskusji **postanowiono wnieść prośbę, aby czynniki administracyjne, samorządowe i zawodowe, a szczególnie organizacje Samopomocy Chłopskiej wydały odpowiednie zarządzenia do gmin i gromad.**

1. O poszanowanie cudzej własności, ochronę przyrody, a szczególnie przydrożnych drzewek owocowych i młododajnych.

2. Aby dom rodzicielski współdziałał ze szkołą w wychowaniu i prowadzeniu młodzieży na dobrych, światłych i kulturalnych obywateli.

3. Aby wprowadzono odpowiednie pogadanki na temat — wódka to wróg ludzkości — i wydano odpowiednie, a radykalne zarządzenia, któreby ukróciły szerzenie się plagi pijaństwa".

Można i tak widzieć swoją społeczną rolę. Moralnie obciążonych Państwo odstawi do domów poprawy lub do „mamra", a w innych sprawach dotyczących wychowania **wnosić tu i tam prośby**, żeby różne czynniki („administracyjne, samorządowe") zarządzały „radykalnie": nie kraść, współdziałać ze szkołą, wygłaszać pogadanki na temat — wódka to wróg ludzkości i żeby czynniki te tępiły pijaństwo.

Wszystko się wtedy, rzecz jasna poprawi i dopiero to będziemy wychowywać! Ale co będzie, jeśli np. inżynierowie i lekarze na swojej konferencji wniosą prośbę do Z.N.P.; żeby z kolei Z.N.P. wydał zarządzenie:

1. nauczycielstwo zaprojektuje i zbuduje tunel pod Wisłą łączący Warszawę i Pragę,

2. przyśpieszy w bieżącym roku ruch kolejowy o 36%,

3. usunie z granic Polski zarazki durnia brzusznego.

Jeżeli mówimy o wielkiej pracy, to nie kompromitujmy się takimi uchwałami. Czy Pstrowski do Rzymu jechałby przez Krym?

Kp.

Cudze chwalicie

Otrzymaliśmy ostatnio list następującej treści:

Poznań, dnia 28 czerwca 1948 r.

P. T. Redakcja „Wsi"

w Łodzi

Akademicka Ekipa Sanitarna P.Z.Z. organizuje w sierpniu br. wędrowny obóz pracy społecznej na terenach powiatów mazurskich, administracyjnie podległych woj. białostockiemu: Ełk, Olecko, Gołdap. Celem obozu jest głównie akcja sanitarna i repolonizacyjno-oświatowa.

Ponieważ wyżej wymienione tereny, podobnie jak i prace ekip akademickich na Ziemiach Odzyskanych są ogółowi bardzo mało znane, pragniemy w poczytnym piśmie „Wieś" umieścić kilka reportaży, czy artykułów ewentualnie z fotografiami.

Zapytujemy przeto uprzejmie, czy Szanowna Redakcja reflektuje na naszą propozycję, oraz jakiego rodzaju reportaże, artykuły czy fotografie byłyby potrzebne. Reportażami możemy służyć już podczas trwania obozu.

Jeden z punktów naszego programu przewiduje pomoc świetlicom wiejskim i WOP-u. W ramach tej pomocy mamy zamiar przekazać świetlicom pewną ilość książek i gazet. Ponieważ nasze zasoby finansowe są bardzo nikłe, zwracamy się z gorącą prośbą do Szanownej Redakcji o ofiarowanie pewnej ilości kwartalnych i półrocznych starych kompletów „Wsi".

List akademików z Poznania nadszedł w sytuacji, kiedy na zachodzie Europy podnoszą się głosy kwestionujące nasze prawa do Ziem Odzyskanych, kiedy w Niemczech przejawiają coraz żywszą działalność organizacje rewizjonistyczne.

Tej akcji przeciwstawia nasze państwo realne osiągnięcia w odbudowie i zagospodarowanie Ziem Odzyskanych, przeciwstawia wzmożoną działalność repolonizacyjną.

Ale w naszej prasie społeczno-literackiej, poza „Odrą", mało się o tym słyszy. Te kilka reportaży w „Odrodzeniu"? Nie mówmy lepiej o tym. Stwierdźmy natomiast, że młodzież akademicka sama deklaruje się wypełnić pracę, do jakiej powinni się poczuwać raczej nasi publicyści. Jedno jest przecież pewne, to mianowicie, że nasza opinia narodowa musi być informowana o tym, co dzieje się nie tylko w Paryżu, czy nad Adriatykiem, ale i na naszych Mazurach.

Trzeba przyznać, że ten rok należy do naszej młodzieży. Buduje ona port w Szczecinie, stawia Wrocław i Warszawę, rusza do akcji kulturalno-repolonizacyjnej na Ziemie Odzyskane, a więc do prac, które stanowią o naszym być albo nie być.

Nie wstyd to trochę — panowie literaci? Dokąd jedziecie na wczasy?

pp.

Co cesarskie cesarzowi...

Watykan broni prawd i religii — czy może ktoś w to wątpić? Broni moralności przed tymi, którzy chcą ją skazić — i maluczkich, przed tymi, którzy chcą ich pognębić. Jest to prawda tak niewzruszona, jak szczere są zawsze wypowiedzi Ojca Św.

W Watykanie istnieje między innymi instytucja, albo ściślej urząd papieskiej administracji o dziwnej nazwie: „Centrum informacji pro Deo". Czyżby informowano sfery niebiańskie o sprawach ziemskich? Być może. Tylko...?

W początku czerwca bieżącego roku ów wysoce łogobojny urząd zorganizował w Rzymie wystawę o całkowicie „niepolitycznej" nazwie: „Wystawa satyry politycznej i kominformu". Wystawa była... Chciałem powiedzieć „oryginalna". Ale to nieprawda, Oryginalności było w niej nie więcej niż na przykład w brukowej, reakcyjnej prasie amerykańskiej.

Pokazano po prostu kłamliwe ryciny, obrazy i zupełnie fantastyczne zestawienia, które powinny obrazować życie Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej. A więc i Polski — której watykańsko - papieska wystawa poświęciła tyle obelżywych obrazów, że zapomniała (jakże krótka jest pamięć ludzka) o cierpieniach narodu polskiego pod niemiecką okupacją, o zniszczeniach, o śmierci milionów wiernych i uczciwych katolików — i o wielkich osiągnięciach Polski Ludowej na polu gospodarczym, społecznym i kulturalnym.

Wystawa chciała — ale tylko chciała — pokazać Włochom prawdę o krajach demokratycznych.

Tylko, że już 18 czerwca Włosi poprostu zniszczyli kłamliwą wystawę. Jak podaje prasa zagraniczna — roznieśli jej wnętrze.

I tyle zostało z obrony moralności, prawdy i maluczkich.

Ale dlaczego głowy naszego kleru katolickiego mówią — nadal i bezustannie o co najmniej miłości Papieża do naszego kraju?

K.S.M.

I jeszcze raz Macchiavelli

Czytałem ostatnio przemówienie papieża Piusa XII wygłoszone do Świętego Kolegium Kardynalskiego, w dniu 2 czerwca 1948 roku. Jest to wypowiedź tak interesująca, że postanowiłem podzielić się swymi wrażeniami z ogółem czytelników.

Przede wszystkim historia. Ileż to było dyskusji i zupełnie jałowych sporów co do sposobu pojmowania dziejów rozwoju społeczeństw. Po cóż to wszystko? Zajrzyjmy do tekstu przemówienia papieża, a otrzymamy odpowiedź jasną i jakże prostą: **dzieje to bitwy i krótkie przystanki między bitwami.** Czy można odmówić genialności temu stwierdzeniu? Biedni historycy! Czerwienią się zapewne ze wstydu, nieprawdaż?

Jak postępować w czasie bitwy to wiemy. Nasuwa się tylko pytanie co należy czynić w tych krótkich odstępach czasu pomiędzy jedną rozgrywką, a drugą. Oto, co mówi papież: „W krótkich przystankach pomiędzy bitwami, ta niesłabnąca czujność jest bardziej niż kiedykolwiek konieczna, bo wówczas zachodzi poważne niebezpieczeństwo, iż spocznie się na laurach, zatraci siłę i pozwoli przeciwnikowi na odzyskanie z trudem zdobytego terenu. Dni wytchnienia są często nie mniej ważne, niż dni walki".

A więc zapamiętajmy te trzy podstawowe stwierdzenia: **siła, zdobyty teren i dni walki.**

Kto to mówi? Przypominają się mimowoli lata 1939 — 45. Lecz teraz to tylko papież.

Tyle o historii i technice walki. Całość należy jeszcze uzupełnić odpowiednim programem, chociaż czy program jest ważny? Amerykanie twierdzą, że to raczej sprawa uboczna, bo przede wszystkim interes który można zrobić, plasując się przy tej, lub innej ideologii, zależnie od okoliczności i konjunktury. Jest to może nieco sprzeczne z etyką katolicką, lub co najwyżej niemoralne. Ale, co o tym sądzi papież? Posłuchajmy:

„W tych uczuciach, w tych postanowieniach w tych czynach, siły katolickie, choć zachowują swoją niezależność wobec różnych kierunków i ugrupowań politycznych mogą niekiedy iść drogą równoległą do ich drogi, o ile tego wymaga wspólnota interesów".

Bracia katolicy! Teraz już rozumiemy, czemuż to raz przeciw Hitlerowi, a raz z Hitlerem... i tak dalej... i tak dalej...

Z. S.

FAKTY i ZDANIA

Rozstrzygnięcie konkursu dla młodych pisarzy

Zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich Oddział Wiejski podaje do wiadomości wyniki konkursu literackiego dla młodych pisarzy na wiersz, nowelę (opowiadanie), kartkę z pamiętnika, obrazek sceniczny i reportaż na temat przeobrażeń społeczno-ekonomicznych, politycznych i kulturalnych wsi polskiej oraz jej kontaktu z przemysłem.

Wpłynęło 207 prac i wszystkie zostały rozpatrzone.

Sąd konkursowy w składzie: Jarosław Iwaszkiewicz, Hieronim Edward Michalski, Stanisław Piętak, Stanisław Czernik i Stefan Lichański — na zebraniu dnia 27 maja 1948 roku postanowił nie przyznać I-ej nagrody żadnemu z autorów, przyznał natomiast dwie II-gie nagrody po 15,000 zł., trzy III-cie po 10.000 zł. i 24 wyróżnienia (nagrody książkowe po 500 zł.).

Wyniki:

II nagroda: a) Franciszek Fenikowski, Poznań (praca pt. „Nowi żeńcy"), b) Bronisław G. Chęciński, Łódź (praca pt. „Wybuchnie żyto i pszenica z solonej ziemi").

III nagroda: a) Jadwiga Badowska, Krynica Morska, pow. Elbląg (praca pt. „Na Mierzei Wiślanej"), b) Zygfryd Sawko, w. Nieszki, pow. Suwałki (wiersz pt. „Wśród pobojowisk"), c) godło „Dolnoślązak", Kraków (praca pt. „Kamienie węgielne" — obrazek sceniczny).

Wyróżnienia: 1. Barbara Hanajówna, Piła; 2. Stefan Góra, Nowy Sącz; 3. Adam Owsikowski, Nowy Dwór k. Lubartowa; 4. Alicja Opińcówna, Zielonka k. Warszawy; 5. Zdzisław Miśkiewicz, Sucha k. Żywca; 6. Marian Narcyz Listowski, Chełm; 7. Wiktor Godziszka, Biała Krakowska; 8. Maria Kachel, w. Śleszowice, pow. Wadowice; 9. Tadeusz Robak, Kraków; 10. Jerzy Koss, Gdynia - Orłowo; 11. Tadeusz Bernaś, Warszawa; 12. Jan Ziomek, w. Boguchwała, pow. rzeszowski; 13. Hipolit Skowronek, w. Goszczanowice, Ziemia Lubuska; 14. Roman Bubiec, Zakopane; 15. Stanisław Pochroń, Kraków; 16. Irena Matyjowa, Kraków; 17. Stefan Gawłowski, Osięciny Kujawskie; 18. A. J. Markiewicz, Bydgoszcz; 19 F. M. Ziemba, Rzeszów; 20. Jerzy Strzetelski, Kraków; 21. Walerian Szambelan, Poznań; 22. Jan Wojtarek, w. Bukowiec, pow. Opoczno; 23. Tadeusz Nuckowski, Wrocław; 24. Stefan Pawlata, w. Lisiewice, pow. Łowicz.

Do uczestników konkursu:

Sekretariat Oddziału Wiejskiego ZZLP (Warszawa, Mickiewicza 18—27) zawiadamia, że niektóre z nagrodzonych prac będą ogłoszone w czasopismach literackich i innych, a wszystkie, jakie nadesłano, zostaną przekazane odpowiedniej placówce naukowej, jako materiał do badań socjologicznych.

Autorów nagrodzonych i wyróżnionych (których adresy są niepełne lub uległy zmianie), prosimy o podanie aktualnego adresu (pełne imię i nazwisko, miejscowość, poczta), gdyż nagrody będą wysyłane pocztą.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
Ceny ogłoszeń: 1/1 kolumna 60.000,— zł; 1/2 kolumny 30.000,— zł; 1/4 kolumny 15.000,— zł; 1/8 kolumny 8.000,— zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60,— zł, kwartalnie 180,— zł, półrocznie 360,— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.
Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—023528